Nr. 37 (1081). Warszawa, dnia 1 (14) Września 1901 r. Rok XXI.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



*Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.*

## POLITYKA.

### Zamach na Mc Kinleya.

Wśród naprężenia umysłów, słusznie przewidujących nowe układy polityczne ze zjazdów wyznaczonych na wrzesień, wstrząsnął Europę telegram z Ameryki o zamachu na życie prezydenta wielkiej rzeczypospolitej związkowej. Stał się ten zamach w piątek, d. 6 b. m., o godzinie 4-ej po południu, w Buffalo, przytulonem do wązkiego przesmyka wodnego Niagary, między jeziorami Ontario i Erie, w stanie nowo-jorskim. W mieście tem urządzono wystawę przemysłową ze wszystkich stanów Unii, okazując przytem gościnność i dla wyrobów innych społeczeństw lądu amerykańskiego. Prezydent przyjechał w odwiedziny, d. 5 miał mowę zagrzewającą do pracy, do uczuć i znojów obywatelskich, do porządku i siły, niezbędnych warunków rozwoju i samego życia, i jakby w odpowiedzi na nią, nazajutrz stronnictwo chaosu, nieporządku i śmierci, anarchiści, używając za narzędzie ręki i oka niejakiego Leona Czolgosa, usiłowali go zgładzić. Dwa indywidua zmówione na jedno działanie wykonały zamach: jeden sprawca ściskał dłoń Mc Kinleya, aby go przytrzymać dogodnie pod strzał, drugi ręką owiniętą w chustkę, pod którą ukrył był rewolwer, dwukrotnie strzelił. Jedna kula odbiła się o żebro, druga uwięzła w jelitach, albo w mięśniach słupa kręgowego. Dnia 11 b. m. raniony jeszcze żył w stanie niby pomyślnym, ale pomyślność taka, na cienkiej tylko zawieszona niteczce — lada chwila ustąpić może groźnie, niebezpieczeństwu, i ostatecznemu zejściu tam, skąd się nie wraca.

To nowe targnięcie się na osobę, która ani przekonaniami swojemi, ani czynami, ani stanowiskiem, nie mogła żadnej zgoła krzywdy wyrządzić żadnej zgoła doktrynie, polityce czy rewolucyi podziemnej,— na osobę, która nie symbolizowała w sobie ani nienawiści, ani prześladowania i pod żadnym względem nie mogła być uważaną za dłużnika anarchizmu — jest wielce znamiennem. Anarchiści działają teraz na oślep, bez rachuby, bez dodatniego lub ujemnego celu, z dość jednak jasnym wzrokiem, aby do działania wybierać punkta i momenta *minoris resistentiae*, ale za to przy słabszym oporze mieć większą łatwość czynu i większe bezpieczeństwo osób Zamach na cesarzową Elżbietę, na króla włoskiego, a bardziej jeszcze od nich rozbójnicze prawie wrzucenie bomb w salę widzów teatralnych w Barcelonie, wskazują, że anarchizm za wrogów swoich uważa wszystkich nie-anarchistów, całe społeczeństwo, cały świata dzisiejszego porządek, samo uspołecznienie ludzkie, a jeśli wybiera jeszcze wierzchołki, choć bez pobudek konkretnych, któreby przed logiką zasłonić się mogły pewną celowością, czyni to tylko dlatego, że nie jest dość silnym i licznym, aby rzucać się na niziny społeczne, mordować pierwszego lepszego, który się pod nóż czy broń palną nawinie.

Gdyby w anarchizmie było więcej logiki, za źródło jego czynów możnaby wskazać rozpacz. Ale przy objawach danych siłą, która je wyrzuca w świat, jest ponure szaleństwo — obłęd umysłów, któremu podłoże niewątpliwie daje choroba mózgów. Jeżeli nawet anarchizm ma jakiś cel, to środki, których używa, mogą go tylko od niego oddalić. Jeżeli celem jego jest zniszczenie świata — tego świata ustawicznie stwarzanego przez człowieka samem tylko współżyciem jednostek — to można być o świat spokojnym: taki cel mogło sobie wytknąć tylko obłąkanie umysłowe, a to będzie zawsze w ludzkości tylko objawem patologicznym i w statystyce jej sił wystąpi zawsze w nikłej mniejszości. Jeżeli ta siła złowroga, niszcząca, zburzywszy, co jest, zamierza budować coś, co być ma — ale napewne nic będzie — mordy na upatrzonego mogą tylko jej samej zagładę zgotować. Już nietylko władztwa, państwa, organizacye polityczne, ale cały ogrom społeczeństw ludzkich podniesie się przeciwko niej i samą masą swoją, samem jej ciążeniem zmiażdży garstkę wypowiadającą walkę już nie tej lub innej formie życia obecnego, ale całej cywilizacyi i kulturze. Instynkt zachowawczy, gruby egoizm, brudna pożądliwość, połączą się tu z najsubtelniejszem odczuwaniem człowieka, jego prawa i siły, z najpodnioślejszem pojmowaniem dróg ducha i kierunków energii, aby wspólnie powalić wspólnego wroga.

Bo wróg ten jest wspólnym. Każdemu chodzi tu o życie, o mienie: filistrowi o byt fizyczny i dostatek materyalny; myślicielowi-idealiście, gdy się od swej osoby fizycznej odrywa — o byt moralny, o duchowy dorobek własnych i spokrewnionych z niemi idei, o cały ten ród ideałów, który ma Rodowi ludzkiemu nieść ocalenie od materyalizmu, gwałtu, przemocy, ciemnoty i nędzy. Środki anarchizmu, jeżeli je środkami nazwać można, są wręcz wrogie idealizmowi prowadzącemu świat. Nóż, wydzierając życie, zarzyna też i myśl

ludzką. Powiewy anarchizmu wstrzymują rozkwit ideałów, żywiących przyszłość. Gwałt jako stała funkcya, wyrabiająca sobie w organizmie stały też organ, jest złą szkołą ducha — znieprawia go i wysusza; rozum głupieje, wola pęka, serca się wyjaławiają. Jedyna trwała, niezmienna, odwieczna rzeczywistość i największa też siła rozpędowa życia — myśl, nigdy ordynarnego, zwierzęcego gwałtu za brata swego nie uzna. Jeżeli są przekonania, doktryny, obozy, stronnictwa umysłowe, społeczne czy polityczne, które takie drogi, raczej bezdroża, i takie zdrożności, jak anarchizm, potępiać powinny, to przed innymi obowiązek ten spada na stronnictwa postępowe. Im to anarchizm największą zewnętrzną i wewnętrzną przynosi krzywdę; one też działalnością swoją umysłową, rozwijaniem pojęć, rozjaśnianiem rozumów, zanieczyszczanych przez sofistykę obłędu czy rozpaczy, dodatniem a czynnem szerzeniem wiary w lepszą przyszłość świata dzięki lepszym świata siłom — najwięcej dla spętania szaleństwa uczynić mogą.

---

**Tydzień polityczny.** Zatarg pp. Constansa, Delcassego i Towarzystwa doków i bulwarów konstantynopolskich z Turcyą zaczyna, w dziennikach przynajmniej, kształtować się jako sprawa samej Francyi, i to sprawa zaborcza. Dzienniki grożą zajęciem Tessaloniki, czyli wdarciem się do Macedonii od południa. Sprawa z błahej stałaby się bardzo poważną, gdyby groźby wyszły nie od samych tylko redaktorów i reporterów francuskich.

Ks. Czun przybył do Berlina d. 3 b. m. Nazajutrz dopełnił w Poczdamie pokuty, ale bez czołgania się i czołobicia; prosił w imieniu cesarza o przebaczenie. Wilhelm II miał mowę, z początku w tonie wspaniałomyślnej łagodności trzymaną; jednak poselstwo za niewystarczające jeszcze zadośćuczynienie uznał; wskazał też potrzebę pilnowania wyższych urzędników. Czun był z początku gościem cesarza, potem przeniósł się do hotelu. Gdy z pokuty wracał, oddano mu honory wojskowe. Cesarz zaprosił go pod Gdańsk na manewry.

Obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki półn. pełni wice-prezydent Teodor Roosevelt, człowiek czterdziestoletni, wielka energia i, zdaje się, dość czysty charakter, przyjaciel Mc Kinleya i wielkopaństwowiec (imperyalista) pierwszej wody. Tropienie i aresztowanie anarchistów na całym obszarze Unii. Ujęto poszukiwaną usilnie Emmę Goldmann.

Dnia 5 b. m. wybierała kurya wiejska we wszystkich 74 powiatach Galicyi nowych posłów do sejmu prowincyonalnego. Zwyciężyli zachowawcy z ks. Stojałowskim sprzymierzeni. Piękny zawiązek przedstawiennictwa ludowego rozerwany. Bernadzikowski, Bojko, Średniowski, Wójcik — poupadali. Przeciwko Bojce użyto podstępu, zwaliła go przewaga 2 tylko głosów. Postępowcy we Lwowie stawiali kandydaturę jego na wybory miejskie, które w tym tygodniu się odbyły. Wiek XX rozumnie, z głębszym oddechem, Bojkę zalecał.

W Toruniu d. 6 b. m. rozpoczął się proces rządu z 60 uczniami, klerykami i in. o przestępstwo zakładania tajnych związków — dla nauki i moralności, z wyraźnem wyłączeniem polityki. Będzie wielu wydalonych, złamie się niejedno życie; ale państwo o takie drobnostki nie dba.

Alldeutscher Verein w Lipsku domaga się związku celnego z Austryą dla ekonomicznego dobra Niemców austryackich, a wydzielenia Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi z Przedlitawii dla ich dobra politycznego; zachęca ich przytem do dalszego oporu. W Asch, na pograniczu Czech, zebrali się d. 8 b. m. najzajadlejsi wszechniemcy, aby zaprotestować przeciwko niegodziwości czeskiej, niegodziwości polskiej — niegodziwości ogólnie-austryackiej, która nie chce bez walki wypuścić cierpiących synów Germanii z pod swej opieki bezprawnej i nie pozwala naturalnemu ich opiekunowi, cesarzowi niemieckiemu, zabrać ich do siebie razem z ziemią czeską. Bez ziemi chętnie by ich Czesi oddali — niech ich sobie biorą — tych cywilizatorów. Niemcy radykalni ludowi w Czechach zaczynają się gorączki pozbywać: potępiają już taktykę i całą sztukę wojowania Irów, Schönererów i Wolfów. Błyska tedy choć słaba nadzieja spokojniejszych obrad. Rada państwa zebrać się ma 22 października.

Sejm węgierski nadspodziewanie prędko odroczony z powodu ostrych mów o § 14, zwłaszcza o wydanem z jego mocy rozporządzeniu o kwotach, jako też dla uniknienia nieprzyjemności, jakąby sprawić musiały nieuniknione rozprawy nad Bałkanią, polityką bałkańską — i p. Gołuchowskim.

Nareszcie w piątek, d. 6 września, podpisano w Pekinie z obu stron wspólny protokół pokoju. Nie wiadomo czy są to dopiero punkta przedugodne, czy też umowy już ostateczne, któreby tylko w instrument traktatu ująć było potrzeba.

Zgromadzenie narodowe w Sofii oddało pod sąd ministrów Iwanczowa, Radosławowa i Tonczewa.

Berlin wybrał ponownie raz już odrzuconego Kaufmana na swego drugiego burmistrza. Dzienniki rządowe grożą.

— Zmarł słynny podróżnik po obszarach przekonań, zasad i wiar ludzkich, zaprzaniec i karyerowicz, Miquel.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z NAD WARTY I ODRY.

Rząd pruski, nie zaniedbujący żadnych środków, jeśli tylko chodzi o zgnębienie żywiołu polskiego, sztucznie hamuje rozwój kulturalny Poznańskiego, Prus Zachodnich i Górnego Śląska. Dość powiedzieć, że na całym obszarze, zamieszkanym przez ludność polską, nie istnieje ani jeden wyższy zakład naukowy—czy to uniwersytet, czy to politechnika. Rząd pruski rozumie bardzo dobrze, że nawet niemiecki wyższy zakład naukowy w polskich prowincyach Prus musiałby wytworzyć takie ogniska życia umysłowego, które, promieniejąc na otoczenie, stałyby się bardzo poważnemi zaporami germanizacyi. W tem tkwi przyczyna, dla której rząd pruski wzdraga się dać Poznaniowi uniwersytet. I, trzeba przyznać, że—ze swego stanowiska — ma zupełną słuszność. Skutki takiej taktyki dla społeczeństwa polskiego są rzeczywiście fatalne. Pozbawiona wyższych uczelni na miejscu, młodzież polska rozprasza się po całych Niemczech, a bardzo znaczna jej część wcale już nie powraca do kraju ojczystego, osiadając na zachodzie i żeniąc się z Niemkami. Po za tem na uniwersytet do Berlina i politechniki w Charlotenburgu wyjeżdża naturalnie młodzież mniej więcej zamożna. Ta zaś, któraby była w stanie korzystać z uniwersytetu lub politechniki na miejscu, o wyjeździe do Niemiec najczęściej nie może marzyć. Stypendya „Pomocy naukowej“ tylko w małej części mogą zaradzić złemu, i w ten sposób z wyższych studyów korzystają najczęściej żywioły, odgrywające w społeczeństwie polskiem rolę najmniej dodatnią.

Tym brakiem ognisk umysłowych, skupiających na miejscu znaczne rzesze młodzieży, bądź studyującej, bądź też kończącej wyższe zakłady naukowe, tłomaczy się bardzo dużo niedomagań społeczeństwa

---

# Z DZIEŁ MULTATULI

**(Douwes-Dekkera).**

SPOLSZCZONE Z PRZEKŁADU NIEMIECKIEGO, DOKONANEGO PRZEZ WILHELMA SPOHRA.

(Dokończenie).

### O powadze opowieść dziewiąta.

Hassan sprzedawał daktyle na ulicach Damaszku. Jeżeli mówię sprzedawał, to właściwie chodzi mi o to, że nie sprzedawał, daktyle jego bowiem były tak malenkie, iż nikt kupować ich nie chciał.

Z zawiścią i złością patrzył on na to, jak wszyscy oddawali pierwszeństwo bogatemu Aouledowi, który mieszkał tuż przy nim na rogoży. Mieszkali bowiem obaj w Damaszku na rogożach, które tworzyły komnaty bardzo wysokie, skoro nie miały stropu nad sobą. Bogactwa też Aouleda nie stanowiły kamienice, jeno ogród, nader urodzajny; tyle urodzajny, że daktyle tam rosnące były takiej wielkości, jak trzy daktyle zwykłe. To też, kto przechodził tamtędy, kupował daktyle Aouleda, lecz nie Hassana.

I zdarzyło się, że przybył do miasta derwisz, który mądrości miał nadto, a żywności za mało. W każdym razie zamieniał swą wiedzę na żywność, a zobaczymy wnet, jak nasz Hassan dobrze wyszedł na takiej zamianie.

— Daj mi jeść — rozkazał mu derwisz — a uczynię dla ciebie, czego żaden kalif uczynić nie może. Zmuszę narody, by kupowały twoje daktyle, gdyż uczynię je dużymi, ha, uczynię większymi, niż są daktyle Aouleda. Jak duże są tamte?

— O, derwiszu, posłanniku Allaha—całuję stopy wasze — daktyle Aouleda — bodaj Allah wnętrzności pokręcił w nim!— są o trzykroć większe od zwyczajnych. Wnijdź na rogożę moją, skrzyżuj nogi, bądź błogosławiony i naucz mnie, jak uczynić moje daktyle dużymi i zmusić naród, by je kupował.

Powinien był właściwie Hassan zadać pytanie, dlaczego derwisz, który posiadał takie skarby wiedzy, nie posiada jadła. Lecz Hassan nigdy nie drwił. Uraczył gościa swego skórą uwarzoną, bo tyle tylko mu pozostało ze skradzionego kozła.

Derwisz jadł, nasycił się i rzekł:

— Trzykroć większe od zwykłych są daktyle twego sąsiada... jak duże pragniesz mieć swoje, Hassanie, synu nie wiem czyj?

Hassan zastanowił się chwilę i rzekł:

— Bogdaj was Allah obdarzył dziećmi i bydłem rogatem! Pragnę, by moje daktyle były trzykroć tak duże, jak dużymi możecie wy je uczynić.

— Dobrze — rzekł derwisz. Patrz, oto ptak, którego przyniosłem z sobą z dalekiego Wschodu. Powiedz mu, że każdy z daktyli twoich jest tak duży, jak trzy twoje.

— Życzę, byście posiedli żony i wielbłądy, o derwiszu — który pachniecie miłe, jak oliwki. Lecz cóż to pomoże, gdy ja ptakowi powiem to, czego niema?

— Czyń, jako rzekłem—odparł mędrzec. Od tego jestem derwiszem, żebyś nie pojął, co mówię.

Hassan życzył ptakowi, by miał pióra długie i dał mu nazwę Rok. Lecz nie był to ptak Rok *). Był niewielki, podobny do

*) Rok nazywa się ptak - olbrzym w mitologii wschodniej. Nasze wieże w grze szachowej były dawniej słoniami, a jeszcze dawniej— rokami. Stąd wyrażenie szachowe „rokować“ lub „roszować.“ (W dawnej polszczyźnie wieża szachowa zwała się „roch.“ Patrz Jana Kochanowskiego „Szachy.“ *Przyp. tłom.*).

polskich prowincyj Prus. Nie mówiąc już o Górnym Śląsku lub innych kresach, gdzie polskość w sferach inteligencyi dopiero teraz poczyna się odradzać, ale nawet w takiem Poznańskiem nie istnieje, można powiedzieć, żadna działalność literacka. Po za Towarzystwem Przyjaciół Nauk, pędzącem iście suchotniczy żywot, niema tam wcale ruchu naukowego. Książek poważniejszych wychodzi w Poznaniu po 1—2 na rok, pism społeczno-literackich, obliczonych na potrzeby inteligencyi, niema. Wybujała natomiast niesłychanie prasa ludowa, a obok niej powstały liczne wydawnictwa „popularne" dla mas ludowych.

Jak nizkim jednak jest poziom wszystkich tych pisemek ludowych! Cała wartość niektórych z nich—i to bardzo rozpowszechnionych — polega jedynie na tem, że są wydawane w języku polskim, a więc tamują dostęp wpływom najrozmaitszych *Blattów* hakatystycznych. Ale nie tylko pisemka prowincyonalne, w rodzaju *Gazety Olsztyńskiej*, *Gazety Grudziądzkiej*, *Gazety Gdańskiej* itp., nawet główny organ ruchu ludowego w Poznaniu—*Orędownik*— wydaje bardzo smutne świadectwo rozwojowi umysłowemu tej inteligencyi, która kieruje prasą w polskich dzielnicach Prus. Dr. Szymański, niewątpliwie najwybitniejszy z kierowników prasy ludowej, redagujący od szeregu lat poznańskiego *Orędownika*, jest typowym okazem takiego inteligenta - dziennikarza. Redagowany przez niego „organ ludu i warstw średnich" sprawia wrażenie jakiegoś zabytku z przed 50-ciu lat. Tyle w nim rzeczy bezgranicznie naiwnych, tyle koziołków logicznych, taki brak wszelkich zasad, takie niezrozumienie najprostszych kwestyj, taka ciemnota, że wprost dziwić się można, dlaczego pismo, tak redagowane, wywiera wpływ i posiada licznych zwolenników wśród inteligencyi.

Należy jednak zaznaczyć, że i na tem, tak dotychczas zabagnionem polu, daje się od niejakiego czasu zauważyć znaczny postęp. Wśród młodzieży, rozproszonej po politechnikach i uniwersytetach niemieckich, widać poważniejsze zainteresowanie się sprawami krajowemi i chęć pracy samodzielnej na gruncie krajowym. Kilka jednostek z tego najmłodszego pokolenia młodzieży polskiej, po ukończeniu wyższych zakładów naukowych, zakrzątnęło się energicznie około wytworzenia nowych form walki z germanizacyą i oparcia agitacyi wśród ludu na nowych, szerszych podstawach.

Pierwszym owocem tej ewolucyi wśród młodzieży inteligentnej było opanowanie bezbarwnego dotychczas *Dziennika Berlińskiego* i przekształcenie go na organ wojującej demokracyi, nie liczącej się z utartemi hasłami i poglądami. *Dziennik Berliński* stanął na gruncie nieprowincyonalnym, jak to czynią inne pisma w Poznańskiem lub na Górnym Śląsku, lecz począł uwzględniać równolegle interesy Poznańskiego, Górnego Śląska i emigracyi. Najbaczniejszą uwagę zwrócił jednak na Górny Śląsk, wydał dlań specyalnie dwie broszurki agitacyjne — z powodu ceł zbożowych i w sprawie stosunku ludności polskiej do niemieckiego centrum—przez co znacznie przyczynił się do zdyskredytowania tak samego centrum, jak i jego echa polskiego — *Katolika*. W ostatnich czasach *Dziennik berliński* prowadzi bardzo energiczną agitacyę przeciwko klerowi niemieckiemu, posuwając się nawet aż do propagowania bojkotu wobec księży-Niemców. W wystąpieniach *Dziennika berlińskiego* widać dużo zapału młodzieńczego, dużo krewkości i bezwzględności, co wnosi bardzo pożądany ferment w stosunki dziennikarskie Poznańskiego i Górnego Śląska.

Wystąpienie *Dziennika berlińskiego* poruszyło do głębi sfery, skupiające się z jednej strony dokoła bytomskiego *Katolika*, a z drugiej — przy *Orędowniku*. Zwłaszcza ten ostatni był wzburzony. Wystąpił on z szeregiem zarzutów przeciwko młodzieży z *Dziennika berlińskiego*, zarzucając jej w dość przejrzysty sposób... brak lojalizmu pruskiego.

Bądź co bądź, *Dziennik berliński*, wychodząc po za krajem, nie mógł być tak niebezpiecznym dla *Orędownika*, jak dziennik tegoż kierunku w samym Poznaniu. Otóż od bardzo niedawna zjawił się i w samym Poznaniu niebezpieczny konkurent dla *Orędownika* w postaci *Gońca wielkopolskiego* pod nową redakcyą. Pismo to stanęło na tym samym gruncie, na którym stoi *Dziennik berliński*, i tuż pod bokiem *Orędownika* poczęło zwalczać jak najusilniej wszelki oportunizm.

Niewątpliwie, pisma radykalniej stawiające wszystkie kwestye narodowe, społeczne i polityczne, muszą wobec wzrastającego ucisku pruskiego zyskiwać coraz pewniejszy grunt. To musi się odbić i w podniesieniu poziomu żądań względem prasy bardziej umiarkowanej, chociażby tylko w celach konkurencyjnych. Widać to bardzo dobrze np. w taktyce *Katolika* bytomskiego w ostatnich czasach. Przyciśnięty do muru przez *Dziennik berliński* z jednej strony, a *Gazetę robotniczą* z drugiej, *Katolik*, chcąc nie chcąc, musi występować coraz gwałtowniej przeciwko germanizacyi przez kościół katolicki, tej bodaj czy nie najniebezpieczniejszej formie germanizowania. To musi coraz bardziej oziębiać stosunki *Katolika* z niemieckiem centrum. Katolikowcy więc są doprowadzeni do ostateczności, co objawia się na każdym kroku.

Tak np. niedawno odbyło się zgromadzenie publiczne bytomskiego Związku pomocy w Zaborzu. Związek ten, to bardzo niewinna organizacya czysto zawodowa robotników, pozostających pod wpływem *Katolika* i niemieckich katolickich związków zawodowych. We wszystkich tych związkach rej wodzą księża lub ich zaufani, robotnicy zaś stanowią żywioł zupełnie bierny, prawie do niczego się niewtrącający. W ostatnich jednak czasach i wśród tej masy, głównie dzięki *Gazecie* w Katowicach, zapanowało niezadowolenie z *Katolika*. Otóż na zgromadzeniu Związku Pomocy w Zaborzu znalazło się bardzo dużo tych niezadowolonych, którzy żądali, ażeby udzielono głosu p. Morawskiemu, funkcyonaryuszowi *Gazety* katowickiej. Przewodniczący zażądał, ażeby ci, ktorzy popierają żądanie głosu dla p. Morawskiego, zbliżyli się do prezydyum. Trzeba znać stosunki górnośląskie, ażeby zrozumieć, co takie żądanie znaczy. Jest to poprostu narażenie śmiałka na niechybne wydalenie z zajęcia, ponieważ obecny na zgromadzeniu komisarz policyi zanotuje sobie jego osobę i zakomunikuje jego nazwisko zarządowi kopalni lub huty. P. Morawski ponownie żąda głosu, za co przewodniczący — katolikowiec Piekacz — zagraża mu wyrzuceniem z sali, jeśli się ośmieli jeszcze raz odezwać i, pomimo oburzenia zgromadzonych, przystępuje do zamknięcia zebrania, mówiąc: „Może pewna partya nam będzie urągać, ale my zostaniemy przy swojem; ojciec święty wydał dla robotników dobrą encyklikę, a nasz cesarz Wilhelm, gdy objął rządy, zapewniał, że jest ojcem nas wszystkich. Wszystkie dobrodziejstwa mamy od niego, przeto na zakończenie wznieśmy trzykrotny okrzyk na cześć cesarza." P. Piekaczowi chodziło o skompromitowanie p. Morawskiego, i istotnie, natychmiast po lojalnej manifestacyi komisarz policyi przystąpił do niego i oskarżył go o obrazę majestatu za to, że nie brał udziału w okrzykach.

Naturalnie, takie sztuczki nie przyczynią się do utrwalenia wpływów *Katolika*, i masy ludowe w sposób coraz bardziej

---

kruka, o języku gadatliwym i chodzie skocznym. Derwisz przywiózł go z Indalns *), dokąd się dostał od kupców, przybyłych z za morza, z kraju owego, gdzie ludzie podobni są do murzynów, jakkolwiek daleko to od Afryki. Że Hassan nazwał ptaka Rok, to dlatego, iż wiedział: kogo proszą, ten się nadyma. I odwrotnie: kto potrzebuje czegoś od innego człowieka, ten się kurczy. Tak było w Damaszku.

Hassan tedy skurczył się i rzekł:

— Jestem twoim niewolnikiem, o ptaku Rok! Mój ojciec był psem... a każdy z moich daktylów jest tak duży, jak trzy moje daktyle!

— Dobrze — rzekł derwisz. Czyń dalej tak i bój się Ałłaha.

Hassan usłuchał: bał się Ałłaha i powtarzał bezustannie ptakowi, jako jego daktyle są niemożliwie duże.

Nagroda cnoty wnet się ukazała. Nie zdążył jeszcze kalif po raz trzeci wymordować wszystkich mieszkanek swego haremu... nie zdążyła jeszcze matka żadna przygotować należycie swej córki dla wysłania na rynek w Rnu... *), nie zdążył jeszcze Hassan spotkać się ponownie z jakiemkolwiek koźlątkiem zabłąkanem, któreby zabrał dla towarzystwa, oraz dla podtrzymania swego życia na rogoży, aż oto ptak wołać począł:

— Mój ojciec był psem!..

To było nie do rzeczy, ale ptak powtarzał za Hassanem:

...Mój ojciec był psem, bogdajbyś pióra miał długie, daktyle Hassana Ben... **).

Nie znam imienia ojca Hassanowego, lecz skoro mąż ten był psem, niewiele na tem zależy.

...Daktyle Hassana są trzykroć większe, niżli są!

Znaleźli się tedy mędrkowie w Damaszku, co przeczyli ptakowi. Lecz nie trwało to długo. Było bowiem coś w głosie tego ptaka, co wprawiało w ruch powietrze w taki sposób, że miało wpływ na załamywanie światła. Daktyle urosły... w oczach ogółu.

A ptak wrzeszczał ciągle:

— Daktyle Hassana są trzykroć większe, niżli są!

I rosły tedy! Ludzie na łbach stawali, byle skosztować tych daktyli.

I Aouled schudł bardzo. Lecz Hassan kupił wiele kozłów i koźląt i wybudował nad rogożą swoją dach. Stał się bardzo rzetelnym i nazywał teraz hańbą, jeżeli ktoś, co nie miał własnych koźląt, zjadł jedno z jego stada. I nie przestawał też bać się Ałłaha.

Tę bogobojność i to bogactwo zawdzięczał własnemu ptakowi, który ciągle powtarzał jedno w kółko i z kłamstwa czynił prawdę przez powtarzanie. Każdy zapewniał, jako daktyle Hassana są bardzo duże, wszyscy byli zmuszeni kupować je.

Prócz Hassana, który pokryjomu kupował u Aouleda, dla którego stał się ostatnim i jedynym nabywcą.

I to tak zostało aż po dzień dzisiejszy.

*) Indalns=Pertjab=Sumatra. Sądzę, że ptak był *beo* (tj. ptak papla), którego przywieziono przez Sumatrę z Nowej Gwinei.

*) Konstantynopol.

**) Ben = syn.

## Aforyzmy z dzieła p.t. „Idee."

Dwie rękawice z lewej ręki nie stanowią pary rękawiczek. Dwie połowiczne prawdy nie stanowią prawdy.

Jedna tylko droga prowadzi do nieba: Golgota. Kto chce tam dojść inną, jest niecnym oszustem.

stanowczy będą się od niego odwracały w miarę, jak ich świadomość narodowa i społeczna będzie się pogłębiała pod wpływem nowych żywiołów w prasie.

A że ta świadomość rośnie coraz bardziej, mamy na to wiele dowodów. Wzrost szowinizmu niemieckiego i tendencyj hakatystycznych we wszystkich sferach niemieckich burzy i nastraja opornie najspokojniejszych. Proces wyzwolenia się mas ludowych z pod przewagi centrum postępuje bardzo szybko; w ostatnich czasach rozpoczął się analogiczny proces i w obozie najskrajniejszej lewicy, gdzie jeszcze przed kilku laty nieporozumienia polsko-niemieckie było czemś wypadkowem i sporadycznem. W ciągu dwóch lat ostatnich nieporozumienia te — owoc wzrostu wpływów szowinistycznych i hakatystycznych wśród Niemców - demokratów społecznych — stają się coraz częstszemi, coraz bardziej ostremi, aż w końcu doprowadzają do całkiem otwartego zerwania Polaków z Niemcami. Polacy nie pozwalali na uszczuplenie w czemkolwiek swej samodzielności, co oburzyło hakatystów w partyi niemieckiej, zwłaszcza karyerowiczów, którzy (jak dr. Winter w Bytomiu lub Gogowsky w Poznaniu) z rozwojem świadomości narodowej robotników polskich tracą wszelki grunt pod nogami. Poczęły się więc utarczki w prasie i na zgromadzeniach, i żywioły hakatystyczne coraz wyraźniej okazywały swoje oblicze.

Walka, bardzo przypominająca walkę pierwotną katolikowców z centrum niemieckiem i obecną kampanię *Dziennika berlińskiego* zaostrza się coraz bardziej i — o czem wątpić nie można — skończy się porażką zupełną żywiołów niemiecko-szowinistycznych. Te ostatnie postępują zresztą tak, jak gdyby dobrowolnie chciały przyspieszyć smutny dla siebie koniec. Oto np. w Poznaniu proklamowano kandydaturę Niemca, nieumiejącego wcale po polsku (Gogowsky'ego) na posła do parlamentu przy wyborach, które się odbędą dopiero za dwa lata. Kiedy zaś obecni na zebraniu Polacy zaprotestowali przeciwko tej prowokacyjnej kandydaturze, p. Gogowsky odparł, że nie ma zamiaru liczyć się z żądaniami „narodu wymierającego.“ Łatwo sobie wyobrazić oburzenie robotników polskich. To powiedzenie p. Gogowsky'ego stanie się zapewne tak popularnem, jak owa pamiętna rada centrowca Ballestrema, ażeby agitatorów polskich na Górnym Śląsku „bić po pysku,“ lub niedawna charakterystyka Polaków przez arcybiskupa Simara, jako „całkiem upadłego narodu.“

Walka więc z germanizacyą— słaba, dopóki prowadziły ją warstwy uprzywilejowane, staje się coraz ostrzejszą w miarę, jak ogarnia masy i przenika coraz głębiej. Jeszcze dość liczne żywioły stoją na uboczu od tej walki, ale rząd pruski i szowiniści niemieccy starają się usilnie o przyspieszenie procesu ich uświadomienia.

*Pośrednik.*

## Katolicyzm i kultura nowoczesna.

Przez cały ubiegły tydzień obradował w Osnabrücku Hannowerskim „Zjazd katolików niemieckich,“ a raczej partyi centrowej, która, zgromadziwszy dokoła swego kija pasterskiego nieprzejrzane stada „bydła głosującego,“ prowadzi niem stały handel na wielką skalę ku czci i chwale „ultra montes.“ Wobec tego, iż Polaków niemieckich łączą obecnie ze stronnictwem tem od czasów zajść wyborczych w Westfalii ścisłe węzły... nienawiści, wobec tego, iż ultramontanizm ma charakter kosmopolityczny, a przytem z niedoścignionym dotychczas wirtuozostwem przystosowuje się wszędzie i zawsze do najrozmaitszych warunków przestrzeni i czasu, nie od rzeczy będzie zdać tu sprawę z tegorocznego zjazdu z zaznaczeniem punktu, dokoła którego przeważnie obracały się rozprawy. Szło mianowicie o to, aby odeprzeć zarzut, iż propaganda ultramontańska obniżyła poziom umysłowy i skrępowała porywy cywilizacyjne ludności katolickiej Niemiec. Wyłożymy zatem przedewszystkiem stawiane zarzuty, a następnie zobaczymy, jak dowódcy centrowi usiłują obalić akt oskarżenia, którem obciążono ich sumienie.

Jak już wspominaliśmy kilkakrotnie, został w 1895 roku dokonany wzorowy spis ludności niemieckiej oraz opracowany w sposób naukowy, na jaki dotychczas nie zdobył się jeszcze żaden kraj na świecie. Jest to w prawdziwem tego słowa znaczeniu pomnikowa praca statystyczna a zarazem nieprzebrana skarbnica naukowa dla przyszłych badań ekonomiczno-społecznych. Otóż ankieta ta wydobyła między innymi na jaw fakty, miażdżące i upokarzające dla ultramontanów. Przedewszystkiem zarówno w krajach czysto protestanckich, jako też w państwach z przeważającą ludnością katolicką (np. Bawaryi) większość posterunków przemysłowych, wymagających sprytu, energii, przedsiębiorczości, wykształcenia i szerokich widnokręgów pozostaje w ręku protestantów. Powtóre: na polu zawodów wyzwolonych katolicy stanowią wszędzie w stosunku do swej liczebności przerażającą mniejszość. Potrzecie: we wszystkich średnich i wyższych zakładach naukowych katolicy pozostają w tyle za protestantami; co zaś ważniejsza, procent uczniów katolickich, uczęszczających do szkół, w nowszych czasach zmalał. Tak np. w Prusiech katoliccy wychowańcy szkół stanowili w 1859 r. 23,2%; w 1879 ułamek ten spadł do 16,2% i dopiero w 1886 r. podniósł się zaledwie do 20,7%. Od 1872 do 1880 r. zastęp protestanckich uczniów gimnazyalnych wzrósł o 18 tys., katolickich tylko o 206. W Bawaryi, gdzie katolicy wynoszą 70,7% ludności, a protestanci 28,2%, dzieci tych ostatnich stanowią w średnich i wyższych zakładach 40%, w szkołach realnych nawet 45%. Fakty te, ogłoszone pierwotnie w 1895 r. i powtórzone w roku 1869 w urzędowem opracowaniu ankiety, sprawiły wrażenie oszałamiające. Trzeba bowiem zauważyć, iż katolicy niemieccy nietylko wytworzyli pod względem politycznym znakomicie zorganizowane i spojone dyscypliną państwo w państwie, ale nadto usiłują zbudować własną kulturę katolicką. Domagają się tedy najprzód katolickich gimnazyów klasycznych, katolickich gimnazyów realnych, katolickich uniwersytetów i katolickiej akademii nauk. W tych instytucyach ma być wykładana nie wiedza „zbankrutowana“ i heretycka, lecz katolicka, niezmącona ani jedną kroplą wolnej myśli. Trzeba przyznać, iż poniekąd istnieją już zarodki tej katolickiej nauki. Biologia i astronomia katolickich uczonych niemieckich opierają się na kosmogonii biblijnej. Filozofia neotomistyczna czerpie swe soki z prac Św. Tomasza z Aquinu. Prawo i nauki społeczne wracają do scholastyków, prawa kanonicznego i trzymają się zasad Św. Augustyna w jego dziele pomnikowem „De civitate Dei.“ Katolickie towarzystwo imienia Gorresa wydaje swe własne filozoficzne czasopismo w duchu neoscholastycznym, i ogłosiło już w drugiem wydaniu encyklopedyę nauk społecznych*). Wszystko to dowodzi, iż katolicy niemieccy nie uznają współczesnej wiedzy

*) Historyozofia katolicka śladem Janssena zwalcza Rankego i reformacyę.

---

Był rycerz, który spadł z konia; odtąd każdy, kto spada z konia, mniema się być rycerzem.

Skargi na egoizm są egoizmem.

Smutne to, że wyraz „oryginalne“ uchodzi za pochwałę.

Znam ojca, który wie dokładnie, ile kosztuje go wychowanie syna. Zapisuje co do grosza. Czego wszakże nauczył się sam od swego dziecka, tego nie zapisuje. Jest to niesłuszne.

Dziwne to, że tylu ludzi rości sobie prawo mieć dzieci.

Znam w zwierzyńcu dozorcę, który umie obchodzić się z tygrysami. Inny nadaje się do ptaków. Nawet sztuczna hodowla ryb jest specyalnością. Dzieci natomiast hoduje każdy.

Kto nie daje więcej, niż otrzymał, jest zerem i rodząc się, spełnił czyn zgoła zbyteczny.

Wierzyć — to śnić. Wątpić — to pożądać. Badać — to pracować.

Liczba pracowników jest bardzo szczupłą.

Częstokroć zdarza się, że nie widzimy czegoś dlatego, że jest zbyt wielkie.

— Patrzaj, synu mój, jak Opatrzność dobrze uczyniła wszystko. Ptaszek składa jaja w gniazdku. Ptaszęta wyjdą z jaj wtedy, kiedy będą muchy i czerwie, którymi się mogą żywić. Wtedy pieśń wzniosą na chwałę Stwórcy, który obsypał twory swoje dobrodziejstwem.

— Czy czerwie będą śpiewały wraz z nimi, ojcze?

Wierz i uginaj się, lub przecz i stój wyprostowany.

Naiwna, dziecięca nieprawda — niekiedy wzniosła — uchodzi w poezyi. Lecz 2×2=5 będzie ohydą, dopóki 2 razy 2 nie jest ni mniej, ni więcej, jeno cztery.

Dziecię, które ufne w prawdomówność ojca, wierzy w bajki, może być miłe swoją wiarą. Lecz wyrostek, który nosi surdut tak jak tatuś... ćmi fajkę, pije, klnie jak tatuś... zna łacinę i rozprawia o przyrodzie jak tatuś... a pomimo to wszystko stracha się upiorów i strzyg... taki truteń jest nieznośny.

Przyjm radę. Mianowicie: nie przyjmuj nigdy rady.

— Uważasz się za geniusza?

— Tak.

— Ta zarozumiałość jest zbyt wielką; trzeba ci wierzyć.

Nie wierz nigdy nikomu, kto mówi z pokorą, gdyż kłamie.

Pokora jest tchórzliwą—i nierzetelną!—manierą udawania, że się jest czemś.

— Kto odważy się szturmować do tego wyłomu? — pytał dowódca.

— Ja! — woła pyszałek, który mniema się być najdzielniejszym w całym pułku. I idzie do szturmu.

Nie mówię bowiem o tych, co wołają „ja“ i nie idą. Byłaby to pycha udana, ja zaś mówię o prawdziwej.

ludzkiej. Powyższe zaś dane statystyczne stwierdzają to, albowiem świadczą, iż unikają oni w istocie przybytków nauki. Tylko w związku z tem można wytłomaczyć sobie, dlaczego podjęli się szalonego zadania stworzenia „własnej“ nauki, jak gdyby naukę można było fabrykować na zamówienie podług danego modelu.

Na świadectwo ubóstwa, wystawione katolikom niemieckim przez statystykę, ci z początku nie reagowali zupełnie i dopiero po 5 latach zabrali głos w tej sprawie. Streścimy tu najpoważniejsze ustępy z mów dowódców, o ile dotyczą kwestyi stosunku katolicyzmu do współczesnej kultury ekonomicznej i umysłowej. Pierwszy mówca, dr. Bachem, roztrząsał temat: „Katolicy a wiek nowoczesny z jego praktycznemi żądaniami na polu handlu przemysłu i techniki.“ „Kwestya —zauważył on — co ma począć katolik, aby na polu handlu, przemysłu i techniki dotrzymać kroku innym wyznaniom, kwestya ta, wskutek zaznaczania przez wrogów naszych wstecznego stanowiska naszego, nie powinna zniknąć nigdy z porządku dziennego zjazdów... W istocie okazało się, iż katolicy nie zdołali dotychczas zająć w życiu publicznem należnego im stanowiska... Nie chcemy przez to bronić *auri sacrae fames*... Najważniejszą rzeczą w tym wypadku jest porządne wykształcenie szkolne... Niestety, katolicy unikają szkół realnych, jak zapewniają, dlatego, iż brak tam odpowiedniego wykładu religii katolickiej.. Również powinni uczęszczać w większej liczbie do szkół handlowych... Oczywiście, kupcy katoliccy powinni dążyć do tytułów radców handlowych, gdyż z dostojeństwem wzrasta i wpływ.“ W tym samym duchu było kazanie dr. Schädlera „Prasa liberalna—wołał on—tłomaczy sobie zacofanie umysłowe katolików ich niesamodzielnością, którą rozwijają w nich księża, prowadzący ich na pasku od urodzenia aż do śmierci... A teraz postawmy sobie pytanie: czyśmy spełnili swe obowiązki na polu nauki. Nie chcemy zaprzeczać temu, iż katolicyzm pozostał w tyle na tym punkcie... Ale nie dlatego, żeśmy mniej zdolni, lecz że protestanci i izraelici prześcignęli nas w dziedzinie zawodów wyzwolonych. Niestety, cyfry stwierdzają to wymownym językiem...

Niechaj więc katolicy nie marzą wyłącznie o tem, aby synowie ich stali się księżmi i zakonnikami i niechaj nie gardzą również zawodami wyzwolonymi.“ Ażeby zatrzeć wrażenie tej kapitulacyi przed „zbankrutowaną“ nauką, dokonanej wobec 5 tysięcy zgromadzonych osób, należało zrehabilitować nieco katolicyzm w stosunku do kultury współczesnej. Zadanie to wzięło na siebie kilku mówców. Jeden np. dowodził, iż katolicy mają wielkie zasługi na polu nauk przyrodniczych, wynalazków i odkryć. Czyż Kolumb nie był katolikiem? Zresztą niedorzecznością jest żądać papierów legitymacyjnych od każdego wynalazcy tej lub innej śruby. Inny w sposób następujący kruszy kopie: „Wykształconych katolików czekają wielkie zadania w życiu publicznem. Nie chce mi się wierzyć, aby idealizm zanikał w szeregach katolików. Wszak powinniśmy być dumni z tego, iż jesteśmy katolikami. Czyż istnieje pod względem logicznym i filozoficznym wspanialszy gmach od kościoła katolickiego.“ Inny mówca znowu tak oto prowadził swą „Apologię katolicyzmu:“ Wyznajmy szczerze, iż istnieli pojedynczy papieże, którzy ściągnęli na siebie ciężką naganę, ale nosiciele wiary którzy, okazali się jej niegodnymi, stanowią wyjątek z reguły powszechnej... Właśnie dlatego, że kościół nasz przezwyciężył te nieporządki (Misstände), jest to jedyny prawdziwy kościół... Przeciwnicy twierdzą, żeśmy skostnieli i niezdolni jesteśmy do dalszego rozwoju. Jest to zupełna racya, albowiem prawda rozwijać się nie może.“

Wreszcie dowódca centrum, dr. Lieber, starał się podkreślić ludowy charakter katolicyzmu. „Papież jest nieomylny — wywodził on;—jego plany nigdy zatem nie mogą przynieść szkody; jeśli przeciwnicy nasi zarzucają, że prąd „Demokracyi chrześciańskiej,“ rozbudzony przez encyklikę papieską, podważa podpory tronów, arystokracyi i państw, na to można odpowiedzieć: On, którego tron jest bardziej uświęconym przez prawo i starszym od wszystkich tronów świata, on hrabia Pecci i król Rzymu, nigdy nie przedsięwziąłby czegokolwiek, co wykroczyłoby przeciwko interesom dynastyj, arystokracyi i państw... Demokracya chrześciańska nie ma domieszki politycznej i nic wspólnego z socyalizmem, który papież uważa za dżumę społeczną. W takiem znaczeniu my jesteśmy demokratami. Ta demokracya chrześciańska jest ściśle połączona z posłuszeństwem względem władz, powołanych przez Boga. Niemasz w niej nic rewolucyjnego i przewrotowego. Chcemy ulegać wszelkim władzom świeckim. Zresztą mogę tu stwierdzić, iż panujący wyrobili sobie mądre przekonanie, że z nami łatwo można dojść do ładu.“

*H. F.*

---

## FEJLETON.

# PAMIĘTNIK.

### *Pierwszy krok.*

Zamierzoną w szerszej mierze reformę szkół średnich zaczęto już częściowo wprowadzać. Od roku bieżącego we wszystkich gimnazyach warszawskich (w niższych klasach) usunięto lub zmniejszono wykłady języka łacińskiego i greckiego, pozostawiając dawny program tylko w jednem gimnazyum — IV. Mniejsze zmiany zaszły w szkole realnej (także tylko w niższych klasach), wszystkie zaś dotychczasowe przekształcenia wypadły na korzyść historyi i nauk przyrodniczych. Trudno już dziś wątpić, że pierwszy ten krok nie będzie ostatnim i że ministeryum oświaty w Rosyi weszło na drogę przeciwną klasycyzmowi. Jeśli uprzytomnimy sobie, jak on głęboko zapuścił korzenie nietylko w tem państwie, ale w całym świecie ucywilizowanym, zrozumiemy ważność zamierzonego zwrotu. Pogląd ogółu na wykształcenie średnie tak przerósł wiekową tradycyą i myślowymi nałogami, że dla wielu zamach na łacinę i grekę w szkole jest czemś świętokradzkiem, niebezpiecznem, grożącem umysłowości ludzkiej zupełną ruiną. Naturalnie jest to obawa płonna. Grecy i Rzymianie wykształcili na swych wzorach całą naszą cywilizacyę, ale to nie dowodzi, ażeby oni byli jej mistrzami na wieki wieków. Największy geniusz ludzki nie jest nigdy tak wielki, jak czas i jego potrzeby.

### *Kto prosił?*

Przed paru tygodniami dowiedzieliśmy się z pism rosyjskich, że p. minister skarbu, ulegając prośbie niektórych wydawców warszawskich, polecił obciążyć książki polskie, drukowane za granicą, cłem 4 rb. 50 kop. w złocie od puda. Czytelników, niewtajemniczonych w grunt tej sprawy, winniśmy objaśnić, że od lat kilku niektórzy tutejsi nakładcy zarówno ze względów oszczędności, jak artyzmu, tłoczyli swe wydawnictwa w Krakowie, gdzie mieli lepszy i tańszy papier oraz druk. Najwięcej klientów ściągnął do siebie zakład Anczyca, który istotnie wypuszczał z pod swych pras roboty wykonane ze starannością i smakiem. Ponieważ ani tego zakładu, ani innych podobnych nikt nie zmonopolizował i każdy mógł z nich korzystać, więc właściwie *wydawcy* nasi nie mieli żadnego interesu w przecięciu tego stosunku. Szkodził on tylko tutejszym papiernikom i drukarzom, nieumiejącym, czy niechcącym współzawodniczyć z zagranicznymi. Jeżeli więc wyszła skąd prośba o ochronę celną, to tylko z tej sfery. Ale kto ją wniósł? Pisma warszawskie wykazały, że zwracanie się tutejszych nakładców do drukarń galicyjskich wywołane zostało powodami technicznymi i że zatamowanie tej drogi wyjdzie na korzyść tylko miejscowemu partactwu. Przeciwko tej krytyce nie odezwał się ani jeden głos. Więc gdzie są i czemu się ukrywają ci, którzy prosili p. ministra o cło na książki polskie, drukowane za granicą? Jeżeli ci panowie tak głęboko odczuli „dobro społeczeństwa,“ czemuż nie mają odwagi odsłonić swej bezimienności i ukazać się jako szlachetni obywatele? Plotka obnosi rozmaite nazwiska, ale po co ta plotka ma szerzyć domysły i posądzenia, kiedy szczerość powinna dać właściwy adres zasługi. Po kilku tygodniach daremnego czekania pytamy: kto prosił? Niechże raz wystąpi i ujawni swoje pobudki.

### *Na długo?*

„Cukiernie lubelskie usunęły ze swych czytelni *Berliner Tageblatt* i *N. fr. Presse*.“

Taką wiadomość z wielkiem zadowoleniem donoszą dzienniki warszawskie.

My tylko zapytamy: czy na długo?

Niestety bowiem, mamy bogate w tym względzie doświadczenie. Pamiętamy setki podobnych „bojkotów“ bardzo gwałtownych i — zdawało się — stanowczych; pamiętamy uroczyste, przez prasę otrąbianie, wyświecanie rozmaitych niecnych *blattów* z cukierni warszawskich, do których one prawie nazajutrz wracały; pamiętamy (nawet w roku bieżącym) równie uroczyste przysięgi, że nie będziemy bez koniecznej potrzeby jeździli do *badów*, i powędrowaliśmy tłumnie do *Zoppot* (wyraźnie: do *Zoppot*, broń Boże nie do *Soboty*, bo to gorzej brzmi). Wszystko to pamiętamy i dlatego w polskie „bojkoty,“ czy one dotyczą prenumeraty pism peryodycznych, czy sprowadzania towarów, czy języka, używanego w korespondencyi handlowej, nie wierzymy. Są to albo słomiane ognie, albo zamaskowane środki-reklamy, albo ciepło-galaretowata paplaninka, która jutro ostygnie, a nigdy nie stężeje w czyn trwały.

### *Ulgi.*

Towarzystwo kredytowe ziemskie przeznaczyło 200,000 rb. na ulgi dla stowarzyszonych ziemian, dotkniętych nieurodzajem. Polegać one mają głównie na rozłożeniu spłaty trzech rat: przeszłorocznej i dwu tegorocznych, przyczem uwzględnione będą rozmiary klęski i zamożność poszkodowanego. Proszący o ulgę będą musieli odpowiednio udowodnić swoje straty według wymagań Towarzystwa, których tu szczegółowo nie podajemy, a które interesowani poznać mogą w swoich dyrekcyach. Z oderwanych doniesień dziennikarskich i pogłosek trudno przedstawić sobie ściśle wysokość rolnego ubytku, jaki zaskoczył ziemian naszych. Jest on w każdym razie bardzo poważny i tak go ocenia Towarzystwo, ofiarując dość znaczną sumę na pokrycie przypadających mu procentów z zaległych rat. Naturalnie ofiara ta nie jest żadnem poświęceniem ze strony Towarzystwa, lecz zwrotem w ciężkiej potrzebie własnego grosza stowarzyszonych. Bo przecie są to ich oszczędzone pieniądze.

### *Oby!*

W Krakowie zawiązało się Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztu-

ki i literatury. Opieka ta polegać będzie na wyszukiwaniu owych zabytków, chronieniu ich od zniszczenia, nabywaniu i gromadzeniu. Ale to nastąpi dopiero później. Tymczasem Towarzystwo budzić będzie tylko zamiłowanie za pomocą własnego czasopisma, odczytów, pogadanek itp. Jak donosi *Gazeta Polska*, przybył do Warszawy delegat nowej instytucyi dla nawiązania u nas odpowiednich stosunków. Rzeczywiście pomniki sztuki i kultury polskiej traktowane są dotąd, jak stare, bezwartościowe rupiecie; rzeczywiście poniewierają się pomiędzy nimi rzeczy ogromnie cenne; rzeczywiście należy im się opieka, a nieraz miłosierny ratunek, lecz czy nowopowstałe Towarzystwo zdoła dźwignąć to ciężkie brzemię? Jeżeli nas opanowywa wątpliwość, to dlatego, że nie łudzimy się, iż tego rodzaju przedsięwzięcia nie mogą stać siłą dobrej woli grona jednostek, lecz muszą mieć poparcie ogółu, który u nas jest dziwnie na takie sprawy obojętny. Między miłośnikami zabytków sztuki i kultury polskiej tylu naliczyć można Anglików, ilu Polaków, bo my nie żyjemy ani dniem wczorajszym, ani jutrzejszym, lecz dzisiejszym. Jest to zaś niewątpliwie najgorszy rodzaj życia.

*Wybór zawodu.*

Chcąc ułatwić wybór zawodu zastępowi młodzieży, która w r. b. ukończyła średnie zakłady naukowe, *Gazeta radomska* wystąpiła z kwestyonaryuszem, *co czynić* ma młode pokolenie, wstępujące obecnie w szranki życiowe i pragnące zwrócić swą pracę w kierunku istotnych potrzeb społeczeństwa, zapewniając sobie zarazem osobiście możliwie dostatnie warunki bytu.

Wśród kilkunastu odpowiedzi, ogłoszonych dotąd w *Gazecie*, spotykamy się kilkakrotnie z głosami specyalistów w różnych dziedzinach działalności praktycznej. Puściwszy nawet z wiatrem plewy nic nie mówiących ogólników, na których w takich razach nigdy nie zbywa, na zasadzie większości tych odpowiedzi raz jeszcze dojść możemy do wniosku, który *Prawda* z różnych przesłanek wyprowadzała już niejednokrotnie, że we wszystkich niemal zawodach praktycznych, jak rolnictwo, ogrodnictwo, leśnictwo, budownictwo, miernictwo, elektrotechnika itp., daje się u nas uczuć brak specyalnie przygotowanych pracowników o niezbyt wygórowanych wymaganiach, brak wykonawców, praktycznie i teoretycznie z danym zawodem obznajmionych.

Brakowi temu nie zaradzą ankiety i kwestyonaryusze, zwłaszcza że odpowiedzi na nie, nieoparte na danych statystycznych z poszczególnych gałęzi pracy (a statystyki takiej nikt u nas nie prowadził dotąd), nie mogą wprost sięgnąć głębiej w życie i udzielić wskazówek, mogących mieć zastosowanie praktyczne w tym lub innym pojedyńczym wypadku. Poważniejsze znaczenie mieć by tu mogło, naturalnie, otwieranie średnich szkół zawodowych o różnolitych programach, nie jak obecnie — handlowych wyłącznie, oraz — co nawet do urzeczywistnienia łatwiejsze — zorganizowanie dobrze urządzonego i odpowiadającego celowi pod każdym względem biura pośrednictwa pracy. Biur takich niema u nas również i skutkiem tego patrzymy stale na nienormalne zjawisko, że dziesiątki — ba, setki ludzi z wykształceniem specyalnem szuka chleba, nie karyery nawet, ale chleba, na dalekim Wschodzie, gdy jednocześnie nasz własny przemysł, nasze rolnictwo, nasze społeczeństwo — narzeka na brak fachowców i sprowadzać ich musi z bliskiego i dalekiego zawsze do usług — Zachodu.

Lecz kwestyonaryusz *Gazety radomskiej* nasunął niektórym z tych, którzy się nim zainteresowali bliżej, myśl inną, zasługującą niewątpliwie na zaznaczenie. „Na wszelkich drogach — mówi nieznany nam bliżej autor odpowiedzi dziesiątej, p. S. P. — we wszystkich gałęziach daje się zauważyć brak ludzi. Młody człowiek, skończywszy jakąkolwiek szkołę zawodową, tu czy za granicą, wszędzie chleb znajdzie i tylko *powołaniem, zamiłowaniem* kierować się powinien, niczem więcej... Jak mało jest u nas ludzi, którzy kochają swą pracę, swój zawód. Jak mało jest tych, którzy w specyalności swej dalej się kształcą. Przeważnie każdy *odrabia* to, co do niego *należy*. A tylko taki ma powodzenie, który kawałek duszy wkłada w swą robotę... Nie ankieta, lecz zamiłowanie niech rozstrzyga o wyborze powołania, zamiłowanie bowiem w swym fachu zapewni „byt dostatni," o który ankiecie chodzi."

Jest w tej radzie trochę optymizmu młodzieńczego, lecz mimo to gotowi jesteśmy uznać ją za najtrafniejszą ze wszystkich. Powiedzmy więcej — prawdziwe ukochanie swego zawodu oszczędza człowiekowi niejednej goryczy w życiu, ułatwia mu zachowanie godności ludzkiej, narażonej tak bardzo we wszystkich wypadkach, gdy, traktując pracę, jedynie jako źródło zarobku, tego właśnie „kawałka duszy" włożyć w nią w żaden sposób nie możemy. Umiłowanie zawodu broni również od karyerowiczostwa i sfilistrzenia przedwczesnego, którego tak się obawia młody maturzysta, p. Prawda, autor ciekawej z wielu względów odpowiedzi trzynastej, gorąco również radzący swym kolegom, by szli przedewszystkiem za głosem prawdziwego powołania. *wb.*

*Sianie piasku.*

Pisma poznańskie, a za niemi i niektóre warszawskie, napiętnowały świeżo fakt sprzedaży przez „powszechnie szanowanego" obywatela M. Potworowskiego wielkiej wsi Prochy w Poznańskiem niejakiemu Szczepkowskiemu z Galicyi, który, wypłaciwszy dotychczasowemu właścicielowi dóbr 250,000 marek w gotówce, odstąpił natychmiast nabyty majątek komisyi kolonizacyjnej.

Nie jest to odosobniony wypadek. Coraz częściej się zdarza, że ten i ów z właścicieli ziemskich w Ks. Poznańskiem, pragnąc koniecznie pozbyć się kłopotów i obowiązków, związanych z posiadaniem roli, i dostać do rąk gotówkę, ułatwiającą zawsze wesołe życie bez troski, nie ma odwagi narazić się otwarcie na wszystkie konsekwencye zamierzonego czynu i, dla uratowania pozorów, sprzedaje ziemię nie bezpośrednio komisyi kolonizacyjnej, lecz jej ukrytym agentom. *Orędownik*, a za nim *Gazeta polska*, przypuszczają, że dałoby się zaradzić złemu przy pomocy banków polskich. „Trzeba się liczyć — pisze p. Cz. w organie p. Gadomskiego — z demoralizującym wpływem komisyi, jako z faktem, i dać tym, których nęci gotówka, możność otrzymania jej od instytucyj polskich. Gdyby wszystkie banki polskie, które zajmują się parcelacyą i sprzedażą dóbr, wraz z towarzystwem obrony ziemi, wzięły się za ręce, to zapewne (?) starczyłoby funduszów na wykupienie tych włości, których właściciele chcą się pozbyć koniecznie, i zapłacenie gotówką czystej wartości."

*Czystej wartości* — zapewne, chociaż i to wątpliwe. Któż jednak zaręczy, że przy pierwszej sposobności nie wypłynie na wierzch więcej — „powszechnie szanowanych" również—panów Potworowskich, pragnących za Prochy swoje otrzymać jeszcze pewną „nadwartość," której żaden bank na świecie, niebędący jakąś szczególną instytucyą polityczną lub filantropijną, wypłacić nie będzie zdolny, lecz wypłaci chętnie—tajny agent komisyi kolonizacyjnej?

Gdzie brak wrodzonej odporności, wrodzonego wstrętu do rzeczy złych, gdzie niema naturalnego poczucia łączności z ogółem i wypływających stąd obowiązków społecznych, gdzie najjaskrawiej świecącym słupem przewodnim jest zawsze interes osobisty i złączona z nim ilość marek lub rubli — tam wszystkie środki sztuczne są tylko sianiem w polu piasku lotnego, którego żaden superfosfat nie zdoła zmienić w pszenicę. *B.*

## BADANIA NAUKOWE.

### CZEM JEST MATERYALIZM EKONOMICZNY?

Odpowiedź na powyższe pytanie może się na pierwszy rzut oka wydać zbyteczną. O materyalizmie ekonomicznym toczą się od lat kilkunastu w prasie niemieckiej, polskiej, rosyjskiej, a ostatnio też włoskiej i francuskiej liczne i ożywione rozprawy; należy przypuszczać, że czytająca publiczność wie, jaki całokształt poglądów pod tym terminem ma rozumieć. Zresztą, wszak już w r. 1859 Karol Marx w znakomitej przedmowie do „Przyczynku krytyki ekonomii politycznej" sam dał lapidarne sformułowanie swej filozofii społecznej; formuła ta, wielokrotnie cytowana i przedrukowywana, służyła nieraz za podstawę do dalszego rozwijania doktryny i za cel licznym jej krytykom.

Jakkolwiek jednak głębokiem i ścisłem jest owo pierwotne sformułowanie marxizmu, dziś już nie odpowiada on stanowi tej doktryny.

Marx, jak wiadomo, wyszedł z łona idealizmu niemieckiego. Widząc, że filozofia ta, wraz ze swym najwybitniejszym przedstawicielem, Heglem, „chodzi na głowie," umyślił „postawić ją na nogach," na mocnym gruncie rzeczywistości ziemskiej," lecz z zachowaniem cech, będących jej prawdą i chlubą: monizmu i dyalektyzmu o duchu przewrotowym. To też, formułując swe poglądy, ma zawsze na względzie idealizm niemiecki, z którym je zestawia i któremu je przeciwstawia; stąd czasami konwencyonalny charakter jego terminów, prowadzący do nieporozumień, jak np. przeciwstawienie pojęć: „świadomość" i „byt." Prócz tego Marx w swej przedmowie nie obejmuje całości poglądów, stanowiących dziś materyalizm ekonomiczny. Przyjaciel i spadkobierca jego, Engels, korzystając wprawdzie z jego wskazówek i notat, dodał cały nowy rozdział, dotyczący ludzkości pierwotnej i znowu w przedmowie do swych znanych „Początków cywilizacyi" dostarczył nowego „tekstu" — pożądanego łupu dla tej kategoryi krytyków, których prof. Labriola dowcipnie nazywa „filologami." Upłynął potem długi okres, przez którego ciąg materyalistyczne pojmowanie dziejów zyskało sobie wielu zwolenników i w monografiach oraz programach stosowane było do różnych zagadnień teoretycznych i praktycznych, aż wreszcie Karol Kautsky, najwybitniejszy z uczniów Marxa w zakresie naukowym, wobec krytyk, opartych na nieporozumieniach, za niezbędne uznał utrwalić w dokładnem określeniu zasadnicze rysy doktryny. Uczynił to w r. 1896, w swym organie, korzystając ze sposobności, nastręczonej przez polemikę z Belfort-Baxem, z właściwym sobie talentem pisarskim i jasnością, dzięki czemu artykuły jego stały się jednem z niezbędnych źródeł dla każdego, zajmującego się tą kwestyą. Praca ta jednak jest utworem polemicznym i okolicznościowym, zarazem apologią i aktem oskarżenia, a wskutek tego z natury rzeczy nierówną i niezupełną. To samo można powiedzieć i o innych wykładach materyalizmu ekonomicznego, pisanych przez zwolenników tej teoryi, np. Mehringa, Lafargue'a; inne -Labrioli, Beltowa— są to całe książki, niepozbawione tych sa-

mych zresztą wad, przy innych wysokich zaletach. Widzimy więc, że pożądany jest treściwy, lecz o ile możności całkowity, systematyczny wykład materyalistycznego lub, jak wolałbym się wyrazić: monoekonomistycznego — pojmowania socyologii, wykład nie polemiczny, lecz niejako szkolny, będący celem dla siebie samego. Dotychczas wykładu takiego było brak; czytelnik więc znajdzie go w pracy niniejszej.

Nasuwa się przytem niejedna trudność; a najgłówniejsza pochodzi stąd, że koncepcya socyologiczna naszej szkoły tak bardzo się w ostatnich czasach rozpowszechniła. Obraz materyalizmu ekonomicznego, skreślony choćby w najogólniejszych zarysach, ale całkowity, objąć musi dziś nietylko dzieła Marxa i Engelsa, nietylko do tej podstawy dodać musimy prace najwybitniejszych w tym zakresie ich uczniów, których jest trzech czy czterech; uwzględnić też trzeba myśli, porozrzucane po pracach licznych mniej wybitnych marxistów: nie zaniedbać — bo byłoby to wielkim błędem — przyczynków tych socyologów, którzy, nie należąc bezpośrednio do szkoły rzeczonej, ulegli jednak jej decydującemu wpływowi, jak De Greef i Loria; tych, którzy do uznania tej samej głównej zasady doszli drogami odmiennemi, jak Rogers, Lacombe, Lippert; tych wreszcie nawet, którzy pracują dla rozwoju i utrwalenia owej teoryi, często wbrew woli i bezskutecznym zastrzeżeniom, co stosuje się, zdaniem mojem, do całej szkoły ekonomii historycznej i historyi ekonomicznej.

Wszystkie te elementy stanowią całość jednorodną w swych najogólniejszych cechach, a to dlatego, że wszystkie one wyłoniły się z jednego wielkiego podkładu społeczeństwa w XIX wieku, tj. epoki, której charakterystycznym rysem dziejowym jest stopniowe dokonywanie się wielkiego przewrotu gospodarczego przez wzrastającą świadomość szerokich mas; ale jednolitość ta przestaje istnieć, skoro przechodzimy do szczegółów: tu w bardzo ważnych nawet jeszcze kwestyach zachodzą różnice pomiędzy grupami, pomiędzy nawet pojedyńczymi pisarzami. Rzecz to naturalna: wszak wszelkie naśladowanie jest zarazem przekształcaniem; samo zatem rozpowszechnianie się teoryi w różnych środowiskach musi niszczyć jej jednolitość — tę przynajmniej, ciasno pojętą, która pozwala odnaleźć ją w całości i wiecznej niezmienności w każdym zacytowanym „tekście."

Z powyższego wynika też, że i my, pomimo starań o utrzymanie się w roli prostego referenta, nie unikniemy nadania naszemu wykładowi pewnego osobistego zabarwienia. Gdy bowiem ktoś, należąc do pewnego kierunku naukowego i pragnąc przyczynić się wedle sił do jego rozwoju, stawia sobie, jak my w danym wypadku, za zadanie — uwydatnić zasadnicze jego cechy i oddzielić go od drugorzędnych, to z natury rzeczy będzie uważał za najbardziej zasadnicze w całej teoryi to, co służy za przesłankę jego własnym wnioskom i pomysłom.

Po tem uzasadnieniu i zastrzeżeniu, możemy przystąpić do samej rzeczy.

I.

Życie ludzkie jest rezultatem trzech czynników, do których daje się też w całości sprowadzić; czynniki te — to człowiek sam, natura i społeczeństwo, albo — mniej treściwie, lecz za to ściślej: cechy biologiczne, składające się na gatunek *homo*, środowisko naturalne, w którem żyje dana jego grupa (warunki kosmiczne, geologiczne, topograficzne, flora, fauna), wreszcie — trwałe stosunki między ludźmi. Człowiek podlega konieczności zdobywania środków do życia i obrony życia; na konieczności tej polega najgłówniejszy jego stosunek do przyrody, na niej się też opiera jego zjednoczenie z innymi ludźmi: łączność ta bowiem, powstawszy samorodnie między matką i dziećmi, albo staje się dla człowieka jedynym ratunkiem od zguby w wieku dziecinnym i potem narzuca się jego świadomości, jako imperatyw, co upoważnia do mniemania, że „stan społeczny jest naturalnym stanem człowieka": albo — pod wpływem starań o coraz skuteczniejszą obronę i coraz obfitszą a różnorodniejszą wytwórczość—łączą się, mniej lub więcej dobrowolnie lub przymusowo, ojciec z matką i dziećmi, rodziny, plemiona, narody jedne z drugimi, przyczem mamy rzeczywiste przykłady „umów społecznych", — albo też wreszcie działanie czynnika konieczności bytowej objawia się w odruchowem, głębokiem przekonaniu członków społeczeństw wysoko rozwiniętych o absolutnej niemożliwości zerwania więzów społecznych, o nieracyonalności życia pozaspołecznego. Sam fakt społeczności zasadniczo zmienia stosunek istoty żyjącej, zarówno zwierzęcia, jak człowieka — do natury; jest ona *środowiskiem sztucznem*, które staje między członkami społeczeństwa a *środowiskiem naturalnem* i zmienia oddziaływanie jego na korzyść tych ostatnich. Lecz ze starań o obronę i wytwórczość wynika nie samo tylko społeczeństwo; doprowadzają one jeszcze do wynalazku narzędzi, które są tylko naturalnymi organami człowieka, sztucznie wzmocnionymi i przystosowanymi do swych zadań za pomocą środków, dostarczonych przez otaczającą przyrodę. Ponieważ zaś człowiek samotny nie może przekroczyć pewnego bardzo nizkiego stopnia w doskonaleniu narzędzi, przeto społeczeństwo i technika bardzo wcześnie są już nierozłączne, warunkują się nawzajem i razem stanowią jedno ogólne środowisko sztuczne, które oddziela człowieka od środowiska naturalnego.

Zwierzęta mają też czasami narzędzia i żyją, co częstsza, społecznie; ale jedynie człowiekowi jest właściwem (przynajmniej pomiędzy gatunkami wyższymi) to trwałe *uspołecznienie techniki*, którego następstwem jest takie wzmożenie siły izolacyjnej i ochronnej środowiska sztucznego, że stawia ona człowieka na stanowisku całkiem odrębnem, po nad wszystkiemi istotami żyjącemi.

Pierwszym i niesłychanie ważnym objawem tej siły jest zmiana natury przystosowywania się: gdy przystosowywanie się do warunków naturalnych u wszystkich istot żyjących odbywa się za pomocą zmian w organach i wogóle w organizmie, w braku których albo istota nie może przekroczyć granic swego środowiska naturalnego, albo ginie, jeśli musi żyć w środowisku innem, *człowiek* tymczasem *przystosowuje się zapomocą zmian w narzędziach*, dzięki czemu może on w pewnych, coraz szerszych granicach dowolnie obierać sobie środowisko naturalne, i organizm jego pozostaje prawie niezmiennym w różnych miejscach, czasach i warunkach. Zamiast organizmu przekształcają się narzędzia pod nieustannem parciem ku coraz większej wytwórczości. Lecz zmieniają się one szybko i widocznie dopiero od chwili, gdy przekraczają próg uspołecznienia (czyli wytwarzania ich wspólnemi siłami gromady). Poprzednio człowiek żył już na świecie przez całe szeregi wieków wśród różnych zmian geologicznych i klimatycznych, ponosząc ich następstwa, lecz, jak i wszystkie gatunki zwierząt, w głównych swych cechach utrwalone, o ile mógł żyć, żył zawsze jednakowo, bez poważniejszych zmian psychicznych, bez historyi. Historya ludzka, tak wartka i bogata, rozpoczyna się dopiero, odkąd narzędzia produkcyi i obrony wytwarzane są społecznie; od tego zaś czasu ani środowisko naturalne ludzkości, ani organizm fizyczny rodzaju ludzkiego prawie nie ulegały zmianom; tylko społeczeństwo samo zmieniało się, a zmiany jego zatem, jego historya, wypływają całkowicie ze zmian w technice wytwórczej (technika obronna bowiem stanowi tylko gałąź wytwórczej, i to gałęź, której względna ważność stale się zmniejsza).

Narzędzia produkcyi, technika w szerokiem znaczeniu tego wyrazu, w zestawieniu ze środowiskiem naturalnem określają *sposób produkcyi*. Najpierwotniejszy, jeśli się tak wyrazić można, „sposób produkcyi," zbieranie płodów roślinnych i zdobyczy zwierzęcej, poprzedza jednak wszelkie narzędzia i zależy tylko od naturalnych organów chwytania i miażdżenia, tych bezpośrednich poprzedników najpierwotniejszych narzędzi. Późniejsze: myśliwstwo, rybołówstwo, pasterstwo (jako niezbędnie poprzedzane przez myśliwstwo), rolnictwo — zawarunkowane bywają techniką, posiadaną przez społeczeństwo, w zastosowaniu do rodzaju bogactw, właściwych danemu środowisku naturalnemu: gdy zaś mowa o technice, nie należy zapominać o ogniu, którego sztuczne wytwarzanie zależy od narzędzi właściwych, ale który, nawet jeśli nie jest jeszcze wytwarzany, lecz tylko przechowywany przez ludzi, podpada pod to ogólne pojęcie techniki, jako obejmujące wszystko to, co pod kierunkiem człowieka zastępuje lub wspomaga czynność jego organów naturalnych. Pierwszorzędna rola ognia w tworzeniu się i kształtowaniu społeczeństw pierwotnych znana jest każdemu.

Późniejsze sposoby produkcyi, aż do wielkiego maszynizmu wszechświatowego naszych czasów, następują po sobie wraz z rozwojem techniki społecznej, która pod nieustannem parciem ku większej wytwórczości zwiększa się, różniczkuje i komplikuje. Jednocześnie zmniejsza się wciąż wpływ środowiska naturalnego na sam rodzaj produkcyi, a tem bardziej na resztę życia społecznego: technika bowiem pozwala społeczeństwu ludzkiemu oddziaływać na przyrodę i wywoływać w niej zmiany, często większe od samorodnych. Sposób produkcyi i określone przezeń stosunki społeczne oddziaływają również na fizyologiczne życie człowieka, zaostrzając albo przytępiając ten lub ów zmysł, rozwijając lub uwsteczniając ten albo inny organ, powodując wogóle to, co nazywamy zwyrodnieniem lub udoskonaleniem rasy; kiedyś może wpływać one będą, jeśli uda się próba dr. Schenka, na płeć przyszłych pokoleń; że już nie mówimy o zmianach fizyologicznych, które towarzyszyć muszą w mózgu ludzkim biegowi myśli, będącemu wytworem społeczeństwa. Nawet zatem zmiany w przyrodzie i w organizmie ludzkim, od czasu jak toczy się historya, zależą od techniki i sposobu produkcyi. Z chwilą, gdy społeczna technika wytwórcza pozwoliła człowiekowi zawładnąć naturą, od kiedy przerzuciła się, niby most, między pragnieniem ludzkiem a bogactwem przyrody, określa ona wszelki stosunek, a przynajmniej wszelką zmianę stosunku między człowiekiem a przyrodą— ponieważ przedewszystkiem ona określa wszelkie stosunki między ludźmi, całokształt życia społecznego.

*Dr. K. Kelles-Krauz.*

## JĘZYKOZNAWSTWO.

Konrad Drzewiecki: *Początki gramatyki języka polskiego* z ćwiczeniami i przykładami. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka, rok 1901, str. 254.

Jeżeli nauka gramatyki jest złem koniecznem wykształcenia współczesnego, jeżeli suchych jej reguł nie da się zastąpić odczytywaniem odpowiednio dobranych urywków z wzorowych pisarzy, kształcących nietylko język,

lecz i smak estetyczny, rozum i serce, to w każdym razie w podręcznikach przynajmniej dążyć należy do ujęcia jej zasad w formy możliwie jasne i przystępne, ułatwiające młodzieży przełknięcie tych gorzkich pigułek szkoły dzisiejszej. Blizkim dosyć tej myśli był, zdaje się, p. Konrad Drzewiecki, autor wydanych świeżo „Początków gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami," któremu nasza literatura pedagogiczna zawdzięcza już zajmującą i pożyteczną książeczkę p. t. „Spacery z panem Karolem." Oparłszy się pod względem czysto naukowym na najnowszych badaniach językoznawczych, a głównie na doskonałej „Gramatyce języka polskiego" Adama Antoniego Kryńskiego, która się ukazała niedawno w drugiem rozszerzonem wydaniu, p. Drzewiecki dał nam w swej książce popularny wykład najważniejszych reguł gramatycznych języka polskiego, objaśnionych mnóstwem przykładów i mogących istotnie, pod kierunkiem zwłaszcza rozumnego i doświadczonego nauczyciela, ułatwić rozpoczynającym systematyczną naukę poznanie głównych zasad języka ojczystego.

Wykład swój rozpoczyna autor od ogólnych wiadomości z głosowni i pisowni, obejmujących rzecz o literach i dźwiękach, podział samogłosek i spółgłosek, podział wyrazów na zgłoski wymowy i zgłoski znaczenia (pierwiastek, przyrostek i przedrostek), wiadomości ogólne o akcencie, o kreskowaniu samogłoski *o*, o miękczeniu spółgłosek i używaniu spółgłoski *h*. Rozdział ten, obejmujący blizko 30 stronic, jest rzeczywiście, jak zaznacza w przedmowie sam autor, traktowany trochę za obszernie. Systematyczne zaznajomienie ucznia z zawartemi w nim wiadomościami wstępnemi należałoby, według nas, odsunąć, poprzedzając je najogólniejszym chociaż wykładem o zdaniu i zapoznaniem ucznia z nauką o częściach mowy. Z drugiej strony w paru wypadkach nie zawadziłaby tu większa szczegółowość. Tak np. na str. 21 autor, wygłosiwszy zasadę, że *rz* pisze się na początku niektórych wyrazów, ponieważ to wyrazy pochodzą od takich, w których kiedyś było *r* na początku, przytacza wprawdzie szereg wyrazów, piszących się przez *rz* (rzadki, rząd, rzesza, Rzym etc.), lecz nie uważa za stosowne podać kilku chociaż form pierwotnych, w których owo *r*, zachowane wyraźnie, ułatwiłoby uczniowi zapamiętanie pisowni.

Naukę o częściach mowy p. Drzewiecki poprzedził słusznie ogólnemi wiadomościami (str. 28—44) o zdaniu i jego najważniejszych częściach składowych (podmiot, orzeczenie, dopełnienie, określenie przymiotne, określenie czasowników i przymiotników). Szkoda tylko, że w samem określeniu zdania nie ustrzegł się pewnej nieścisłości. Zdanie, według p. Drzewieckiego — „jest to *dwa lub więcej* wyrazów, zawierających myśl o jakiejkolwiek osobie lub rzeczy." Lecz w takim razie zdania trzecioosobowe lub bezosobowe w rodzaju: rosi, grzeje, mroźno itp., o których zresztą autor nie wspomina wcale, nie byłyby zgoła zdaniami, czego przecież utrzymywać niepodobna.

Nauka części mowy rozpoczyna się, naturalnie, od rzeczownika, któremu poświęcono przeszło 60 stronic, przyczem autor trzyma się najdogodniejszego podziału rzeczowników na cztery deklinacye, zaliczając do pierwszej rzeczowniki męzkie, zakończone na spółgłoskę twardą lub miękką; do drugiej—nijakie, kończące się na *o*, *e*, lub *ę*; do trzeciej: żeńskie na *a*, *i*—oraz (w liczbie pojed.) męzkie na *a* i *o*; do czwartej wreszcie rzeczowniki żeńskie, zakończone w mianowniku na spółgłoskę miękką. Zerwawszy dalej z dawnym systemem omawiania najpierw części mowy odmiennych, a potem nieodmiennych, p. Drzew. przechodzi odrazu do związanego bezpośrednio z rzeczownikiem przyimka, niepotrzebnie tylko utrzymując przytem błędną i mogącą wprowadzić w błąd terminologię, według której przyimki *rządzą* różnymi przypadkami rzeczowników.

Przeszedłszy następnie inne części mowy odmienne, dochodzi autor do słowa, któremu poświęca również około 60 stronic, utrzymując przy nauce o odmianach tej części mowy przyjęty dziś ogólnie podział na pięć konjugacyj. Szkoda tylko, że pominięta tu została zupełnie rozpowszechniona dziś, a z pewnych względów dogodniejsza nazwa *czasownika*, której zresztą sam autor użył bez wahania w innem miejscu.

Nauka o przysłówkach, spójnikach i wykrzyknikach (z tymi ostatnimi p. Drz. załatwił się w dziesięciu wierszach, nie wspominając wcale o wykrzyknikach, naśladujących głosy natury) kończy ten przystępny i wogóle dobrze ułożony wykład gramatyki, w którym jeszcze radzibyśmy widzieć przy końcu najogólniejsze chociaż wiadomości o używaniu znaków przestankowych. Język książki jest wogóle poprawny. W jednem miejscu tylko (str. 136) razi niemile rozpowszechniony dziś barbaryzm: „*za* wyjątkiem," mogący tu być zresztą — niedopatrzonym błędem zecerskim.

*Wł. B.*

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA POLSKA.

Michał Mutermilch: *Ironia*, str 146. Kraków. Gebethner i S ka, 1901.—Jerzy Orwicz: *Okruchy życia*, nowele, str. 174. Warszawa. S. Mieczyński, 1901. — H. Orlicz-Garlikowska: *Drapieżna idylla*, str. 146. Warszawa. J. Fiszer, 1901.— K. Daniłowicz-Strzelbicki: *Półtony*, str. 100. Warszawa. T. Paprocki i S-ka.

Pole nowelistyki naszej przechodzi od czasu do czasu lata wyjątkowo jałowe, i wtedy, jak po długiej suszy, kwiaty i kłosy, ukazujące się na niem zrzadka, niby źdźbła pszenicy na piasku, nie śmieją się do słońca, nie grożą hardo chmurom, nie lśnią kolorami tęczy, lecz dziwnie smutno w dal patrzą, bezbarwne, chore, anemiczne.

Gdyby nie „Chwile" Elizy Orzeszkowej, gotowi bylibyśmy zaliczyć rok obecny do takich właśnie chudych lat w rozwoju naszej twórczości nowelistycznej. Pojedyńczy zresztą zbiór utworów, chociażby prawdziwie pięknych, autorki znanej i cenionej nie od dzisiaj — nie zmienia właściwie charakterystyki ogólnej, w której zaiste trudno byłoby znaleźć wyrazy pochlebne dla najnowszych objawów działalności naszej na wymienionej niwie. Brak nowych pomysłów i siły, brak głębszej obserwacyi życiowej czy umiejętności podzielenia się nią z czytelnikiem, może wprost brak talentu — oto ogólna cecha kilku zbiorów nowel i szkiców, wydanych świeżo w różnobarwnych cieniutkich książeczkach, na których okładkach widzimy przeważnie nazwiska autorów młodych, mało znanych w literaturze lub nawet nieznanych w niej wcale. Wywierają oni chwilami wrażenie ludzi, niemających społeczeństwu swemu nic zgoła do powiedzenia, pragnących jednak bądź co bądź mówić, mówić koniecznie. Więc przeżuwają myśli oklepane, wracają do tematów ogranych lub — co łatwiejsze jeszcze — wyjmują „z zapomnianych szuflad zżółkłe kartki, porywów pióra naiwne pierwociny" i raczą niemi czytelników, nie zadawszy sobie trudu zastanowienia się przez chwilę, co literaturze i ogółowi przyjdzie właściwie z tych „pierwocin naiwnych."

Względnie najkorzystniejsze wrażenie w szeregu tych niezbyt szczęśliwych debiutów wywiera niewątpliwie zbiór nowel p. Michała Mutermilcha, objętych wspólnym tytułem „Ironia." Niektóre z nich znane są czytelnikom naszym z odcinka *Prawdy*. I w jego książeczce zresztą nie znajdziemy rzeczy nowych, silnych lub choćby wzruszających głębiej; lecz przynajmniej widoczna w niej jest zdolność pisarska i pewne przygotowanie estetyczne. Z nowel jego i szkiców wyziera jakaś myśl ogólna, rodzaj syntezy życiowej, czy może tylko właściwy mu kąt widzenia ludzi i rzeczy, łączący pojedyncze obrazki w pewnego rodzaju całość artystyczną. Autor zdaje się dopatrywać w życiu sprzeczności między rzeczywistością a ideałem, tem, co jest, a tem, co być powinno, i w obrazkach swych maluje wypływające stąd kolizye i niespodzianki. Czyni to czasem, jak np. w szkicu p. t. „W wagonie," z niewątpliwą zręcznością, wynagradzając w ten sposób brak prawdziwie świeżych pomysłów, sprawiający, że w takich utworach, jak „Marynia," a zwłaszcza „Zbrodniarka," powraca do tematów, poruszonych z większą siłą i większym nieraz talentem przez nowelistów innych, z Maryą Konopnicką na czele.

Najobszerniejszy w zbiorku utwór p. M. Mutermilcha p. t. „Świetna partya," ma charakter wspomnień pamiętnikowych „dziwnego człowieka," przez co nawet jeden z łatwowiernych sprawozdawców uważa go za rodzaj autobiografii autora. Ów „dziwny człowiek" zaraz po skończeniu uniwersytetu zakochał się w pewnej bogatej dziedziczce i niespodziewanie dosyć otrzymał rękę ukochanej od dziwniejszych jeszcze, widocznie, jej rodziców. Fakt ten jednak nie na długo potrafił go uszczęśliwić. Podejrzenia znajomych i nieznajomych, że się ożenił dla posagu, przeświadczenie, że własna jego praca biurowa i literacka nie starczyłaby im może nawet na utrzymanie służby — zatruwa mu każdą chwilę życia, drażni go coraz bardziej i doprowadza prędko do przykrych scen z kochającą go i kochaną nawzajem żoną. „Poczyna mnie parzyć dywan pod nogami. Trudno mi kęs połknąć, bo mi staje w gardle. Nie mogę patrzyć na lokaja, bo mi wstyd, nie wiem sam czego i przed kim." Nie mogąc znieść w końcu dwuznacznego położenia, bohater noweli opuszcza potajemnie piękne i bogato urządzone mieszkanie żony, zabrawszy z sobą tylko wytarte ubranie studenckie i nieco oszczędzonych pieniędzy z honoraryów za artykuły — i idzie w świat, by pracować na swe utrzymanie, pozostawiwszy żonie, w celu wytłomaczenia tego kroku, pamiętnik swój z kończącem go zdaniem: „Wprzód byłem człowiekiem, niż twoim kochankiem, więc muszę odejść, muszę..."

Otóż właśnie, że tego musu czytelnik nie widzi wcale i gotów jest uważać niespodziewaną ucieczkę „dziwnego człowieka" za obliczone na efekt zakończenie noweli lub też kaprys jej bohatera, wywołujący poważne obawy — o zdrowie jego zmysłów. Wrażliwy na języki ludzkie pan Bolesław miał dziesięć lepszych sposobów wyjścia z niemiłego dla siebie położenia, a wybrał najgorszy, spadający całym niemal ciężarem na dobrą i kochającą go żonę, której winą główną był fakt posiadania bogatych i dbałych o nią rodziców. A dalej czyż podobna przypuszczać, aby kochający się narzeczeni w ciągu kilku miesięcy przedślubnych nie rozmawiali ani razu o przyszłych warunkach życia? Ten „dziwny człowiek" p. Mutermilcha, pozwalający, aby mu ktoś inny urządzał wspaniałe mieszkanie, przyjmował służbę itd., i dopiero po przyjeździe z żoną z zagranicy otwierający na to wszystko usta

z podziwu, wywiera chwilami wrażenie skończonego niedołęgi, niezdolnego do podjęcia brzemienia życia, które też słusznie mści się na nim na każdym kroku. Swoją drogą nowela ta, w pierwszej połowie zwłaszcza, ma kilka miejsc ładnych, jak np. scena wzajemnego wyznania miłosnego zakochanej pary, na str. 90, lub psychologia niecierpliwego oczekiwania, o kilka stronic dalej. Tylko że to wszystko przypomina znów trochę rzeczy znane, że wymienię tylko „U źródła“ Sienkiewicza, a nie zawsze im dorównywa.

Z kilku króciutkich „fragmentów,“ uzupełniających pierwszy zbiorek p. Mutermilcha, najładniejszem i nawet ładnem zupełnie jest rozmyślanie młodej matki *nad trumienką* dziecka. Za to owe „Dusze samotne,“ noszące nieskalanie czyste *szaty*, pragnące wieczystego uścisku *dłoni* i wyciągające do siebie *łaknące ramiona* — nie trafiają nam wcale do przekonania. Zanadto już po malarsku traktuje tu autor coś tak nieuchwytnego, jak — dusza...

Wśród jedenastu nowel i obrazków, które złożyły się na „Okruchy życia“ p. Jerzego Orwicza (pseudonim), jeden tylko urywek niedługi, umieszczony na czele książki, wyrasta, zdaniem naszem, po nad miarę szarej przeciętności. Autor odtworzył tu z talentem smutną scenę, rozgrywającą się między napół zmarnowanym literatem, który kiedyś miał aspiracye szerokie, dziś zaś musi podniecać się wódką, by artykułami dziennikarskimi zarobić na utrzymanie rodziny — a kochającą go żoną, która usiłuje zrazu powstrzymać męża na brzegu przepaści, lecz przez wzgląd na dzieci, po długiej walce wewnętrznej, z duszą rozdartą, biegnie sama do sklepu, aby za ostatni grosz kupić trochę podniecającego napoju, bez którego on już dziś pracować nie potrafi. Położenie uchwycone z pewnem poczuciem dramatyzmu życiowego, a słowa, wypowiedziane przez zmarnowanego literata, tchną poniekąd szczerością i siłą. „Jam nie rzemieślnik, który zrana z wesołą piosnką na ustach do roboty zasiada i wali jedno za drugiem, ani pyta. Ja piszę krwią serdeczną, nie produkuję towaru, nie kupczę duchem! Ale wy mnie nie rozumiecie! Smagacie biczem rozsądku! Masz talent? a nol to pisz, bratku! Nie ustawaj! A hej! a wio! ciągnij dalej, sił nie żałuj! Talent jest, to go wyzyskuj; dobrze czy źle napisane, byle więcej! Od wiersza ci płacą, wal, ile się da! Oto wasza logika praktyczna!“

W innych nowelach p. Orwicz wyjątkowo tylko potrafi się ustrzedz przesady, jednostronności, efektów melodramatycznych lub, co najmniej, banalności. Więc też chybia celu zarówno wówczas, gdy, pragnąc nakreślić satyryczną sylwetkę zmiennego, jak chorągiewka, krytyka, daje nam tylko jego karykaturę („Fabrykanci opinii“), jak i wtedy, gdy usiłuje nas wzruszyć losem nędzarza, który się wiesza na strychu, chcąc tą drogą zapewnić swej małej córce — zawodzącą zresztą w ostatniej chwili — opiekę bogatej protektorki („Gdyby była sierotą“). Są pomysły, rzadko nowe, co prawda; są niewątpliwie dobre chęci, ale brak silniejszego odczucia rzeczywistości, bez czego trudno już dziś puszczać się na poorane tysiącami wioseł fale beletrystyczne. W stylu swym przytem p. Orwicz wznosi się rzadko ponad pospolitość, a język nawet jego utworów niezupełnie jest wolny od pewnych niedopatrzeń: „Tamto uczucie wkrótce tak „zbłękitnieje,“ że pani sama zdziwisz się, jak mogłaś *go* tak przeceniać“ (str. 146).

Lecz bardziej od takich usterek razi w niektórych utworach początkującego nowelisty pewna poziomość lotu, czy może idealizowanie objawów życia, nie zasługujących na to żadną miarą. Stosuję to głównie do końcowej noweli zbiorku, a raczej, jak chce autor, do „obrazka w słońcu“ p. t. „Państwo Ziuziowie,“ podnoszącego do apoteozy filisterskie szczęście drobnomieszczańskie dwóch młodych par małżeńskich, które się zjechały przypadkiem, zjadły smaczny „obiadek,“ wychyliły po parę kieliszków wina, zatańczyły skoczną „poleczkę,“ wyściskały się i wycałowały porządnie, dając sposobność autorowi do wypowiedzenia ostrej apostrofy pod adresem pesymistów, dowodzących jakoby, że szczęście jest mrzonką, chorobliwą chimerą. Jeżeli to ironia, to przyznać trzeba, że żądło jej zostało dobrze ukryte. Niestety jednak, p. Orwicz radby nas, jak się zdaje, naprawdę leczyć z pesymizmu widokiem „zacisznego saloniku“ państwa Ziuziostwa i panującej w nim atmosfery miłości, wesela, wyziewów kuchennych i — sypialnianych. A w takim razie możemy mu istotnie powinszować optymistycznego poglądu na zawiłe sprawy życiowe.

Ta duszna atmosfera buduarowo-sypialniana, którą literatura nasza zawdzięcza bodaj p. Maryanowi Gawalewiczowi i jego komedyjkom jednoaktowym, opartym na chwilowych nieporozumieniach i aktach przeprosin małżeńskich, jest również jednym z zasadniczych tonów w twórczości p. H. Orlicz-Garlikowskiej, poświęcającej tytułową nowelę swego zbiorku („Drapieżna idylla“) odtworzeniu podobnego właśnie nieporozumienia, zakończonego, naturalnie, obfitym gradem wzajemnych pocałunków i pieszczot. Wyznam w pokorze ducha, że ta poezya różowych uszek i białych karczków najmilszych żonek, figlarnie przez wiatr niepokojonych, wpływająca w naszych nowelach i jednoaktówkach w sposób tak wzruszająco-kojący na wzburzone nerwy panów mężów — nigdy jakoś — w beletrystyce przynajmniej — nie budziła we mnie zachwytu. W danym razie byłby on tem mniej usprawiedliwiony, że p. Orlicz-Garlikowska nie umie się obejść bez zużytych efektów teatralnych w rodzaju owej rozmowy o adwokacie, do którego żona chce iść dla pomówienia o spadku, a mąż nie pozwala, przypuszczając, że jej idzie o rozwód. W innych utworach nieznanej dotąd autorki słyszymy echa „Janka muzykanta,“ „Bez dachu,“ to znów jakieś zmelodramatyzowane reminiscencye scen, przez nią samą przeżytych może kiedyś naprawdę. W szkicu „Ta inna“ autorka usiłuje bezskutecznie wzruszyć nas losem pięknej Loli, kosztownej przyjaciółki hrabiego Wisia, odbierającej sobie życie na wiadomość o jego małżeństwie z bogatą baronówną i przeznaczającej wszystkie swe kosztowności, nabyte naturalnie za pieniądze hrabiego, na moralnie zaniedbane dziewczęta. Są to wszystko melodye znane i ograne, powtórzone raz jeszcze przez żądną taniego rozgłosu literackiego autorkę, dzięki pewnej łatwości pisania, której odmówić jej nie można.

Lecz nawet tej najzwyklejszej łatwości pisania dopatrzyć się nie możemy w reklamowanych przez przyjaciół „Półtonach“ p. K. Daniłowicza-Strzelbickiego. Autor „Blichtru,“ odznaczonego przed paru laty na konkursie powieściowym *Głosu*, wykazał był w swej powieści wcale niezłą znajomość pewnych stron życia oraz umiejętność plastycznego ich odtwarzania. Nic podobnego nie widzimy w „Półtonach,“ gdzie podziw może wzbudzić tylko obfitość słów, poskręcanych, niby w jakimś ataku konwulsyjnym, w zdania nienaturalne, dziwaczne, no i nieusprawiedliwiona niczem pretensyonalność autora, dająca się zauważyć na każdym kroku, począwszy od okładki książeczki aż do jej kartki ostatniej.

„Półtony“ mają być pewnego rodzaju spowiedzią młodzieńczej duszy p. Daniłowicza-Strzelbickiego, który na swe usprawiedliwienie powołuje się w przedmowie na dawne daty tych urywków (przeważnie rok 1898), mających, mówiąc słowami autora, odtwarzać „wrażenia z daleko ubiegłych dni, kiedy, wchodząc w życie, w zapału godzinach pisałem te drobiazgi.“ Przy końcu przedmowy słyszymy coś jeszcze o rodzicielskiej miłości, „nieznającej ułomnych dzieci i jednako tulącej do łona i silne, pełne życia, i słabe, chorowite, melancholii wiecznej pełne.“

Pominąwszy okoliczność, że równie dobrze możnaby usprawiedliwić ogłaszanie drukiem różnych prób młodocianych, kreślonych w brulionach przez zdolniejszych czwartoklasistów, zjawia się pytanie, dla kogo właściwie przeznaczył autor swój zbiorek? Kto pragnie wiedzieć np., co myślał on na widok starego krzyża, na którym „*żyć nowych* budziły się kwitnienia“; kogo obchodzi, czy lubi on, czy nie — długie, szare godziny umierającego dnia, czy chciałby lub nie, aby w kościółku *wiecznie* świeciło słońce, klęczał *zawsze* jakiś staruszek itd. itd. Podobne wynurzenia osobiste mogą mieć pewną racyę bytu w literaturze, gdy są nacechowane jakąś oryginalnością, głębokością lub choćby tylko świeżością spostrzeżeń, gdy są ujęte w formę piękną, wykwintną, artystyczną. Lecz jeśli tego wszystkiego niema? Jeżeli są one tylko zbiorem dziecinad i banalności? Ha, wówczas można jeszcze podobno dać na okładce swój portret w zajmującej pozie, napisać pretensyonalną przedmowę, postarać się o reklamę w *Kuryerku* i — powodzenie książki zapewnione.

*Wł. Bukowiński.*

---

## LITERATURA DUŃSKA

### CÓRY POLSKI,

powieść Agnieszki Henningsen.

Między cechami, właściwemi Polakom, wymienił Jerzy Brandes niezwykłą naszą wrażliwość na sąd obcych. Według mego przekonania, jest to właściwość raczej ogólno ludzka, niż wyłącznie polska; tak, czy inaczej, przyznaję się szczerze, iż z żywą ciekawością wzięłam do ręki książkę pani Henningsen, aby się dowiedzieć, jakie też pojęcie wyrobiła sobie o nas, Polkach, autorka duńska Niestety, zawiodłam się zupełnie. Owe bowiem „córy Polski,“ prócz imion, nie mają nic wspólnego z typami polskimi. Nie brak tu znakomicie odtworzonych postaci niewieścich, boć przecie pani Henningsen należy do lepszych pisarek, ale to nie Polki, lecz kosmopolitki. Co prawda, najważniejsza przyczyna niezgodności naszych wymagań z tem, co autorka dała, tkwi w samym przedmiocie powieści, którym jest życie cyganeryi artystyczno-literackiej, a ta, jak wiadomo, nie odznacza się cechami narodowemi... nietylko u nas, lecz wszędzie.

Wątku powieściowego tu prawie że niema, są tylko pełne życia poszczególne sceny rozmaicie się układających kombinacyj między przedstawicielami obojga płci.

Postaci kobiecych wprowadziła autorka cztery. Hrabina Labowna, (?) pół histeryczka, pół typ zefirków Orzeszkowej. Na początku powieści dowiadujemy się o niej, że jest to dość młoda wdowa, która po stracie męża nieustannie rozpacza, miewa napady niemal obłędu, zamyka się w sypialni, szlocha, jęczy, tarza się po ziemi itp. Nagle, zmienia się owa żałobnica w próżną, zalotną kobiecinę i taką pozostaje już do końca powieści. Przeskoki takie w usposobieniu zdarzają się u tego rodzaju kobiet, ale przyczyna jakaś zewnętrzna lub wewnętrzna istnieć musi. Tu nie widzimy żadnej.

Właściwą bohaterką jest „najsławniejsza polska literatka“ Marya Mańkowska, żądna wrażeń, namiętna, zmienna, nieobliczalna. Tworzy ona swoje arcydzieła

pod wpływem coraz nowych stosunków miłosnych. Wreszcie dobiegając trzydziestki, czuje się znużoną; resztką, jak sądzi, uczucia czepia się poety Dembińskiego, a gdy ten po pięcioletnim stosunku ma jej dość i brutalnie jej to oświadcza, z rozpaczy oddaje rękę czekającemu oddawna na tę chwilę, zawsze równie gorąco jej pożądającemu wielbicielowi, któremu autorka dała imię Prus. Ten, darząc ją stałem uczuciem, imieniem, majątkiem, nie otrzymuje w zamian nic, nawet wierności, niepożyta bowiem w tym kierunku energia Maryi budzi się znowu pod natchnieniem miłości do Brandesa, występującego u pani Henningsen jako Percy Branner.

Najsympatyczniejszą postacią jest aktorka, nazywana powszechnie „Lalą.“ Przy całej swojej swawoli i wyuzdaniu posiada ona pewne zasady i dużo mądrości życiowej, obok dobroci serca, właściwej lekkoduchom tak męskim, jak kobiecym.

Najwięcej cech niby polskich ma hrabianka Halina (także Labowna: autorka nie rozróżnia naszych końcówek *owa* i *ówna*), manekin, przybrany w zalety i wady kobiety - bohaterki, znanej pani Henningsen z powieści Baucha p. t. „En polsk Familie“ (Polska rodzina) oraz z „Wrażeń“ Brandesa. Nie wyzyskała tu autorka wcale wdzięcznego tematu, jakim mógł być obraz budzącej się w młodem serduszku miłości do człowieka, którego znała z dzieł i podziwiała i, który dał jej nieuchronne w tym razie rozczarowanie.

Obok tych powszechnych typów kobiecych przesuwa się cała galerya mężczyzn, z którymi autorka obeszła się po macoszemu. I tak: dała sylwetkę goga, próżniaka, człowieka moralnie lichego, pozującego zręcznie na męczennika dla ułowienia posagu, w czem mu dopomaga wiecznie do pieniędzy próżno wzdychająca siostra, Marya Mankowska. Nie lepszy od niego jest Jedlicz, darmozjad, mający, nie wiadomo na czem ugruntowaną, sławę człowieka niezwykłych zdolności, bogatego w świetne literackie pomysły, lecz próżniaka. Poeta Dembiński, pochodzący z ludu, ma mieć ogromny talent; przedstawiła go autorka jako egoistę, brutala, pozwalającego się utrzymywać kochance, zarabiającej piórem na niego, siebie i brata. Dodatnią mogłaby jedynie być postać Prusa, cichego działacza społecznego, ale rysunek jej jest mglisty, zamazany. Tylko śmieszne strony jego charakteru występują wyraziście, gdy płonie, jak dzieweczka, na widok kobiety, która, wiedziona chwilowym kaprysem, dała mu poznać rozkosz uścisków, aby go natychmiast porzucić, pozostawiając wieczną żądzę i nie tając przed nim, że on byłby ostatnim mężczyzną, któremu by się oddała po raz drugi!

Z niezrównaną subtelnością i artyzmem odtworzyła autorka postać swojego rodaka: kto Brandesa widział chociaż raz, poznałby go tu natychmiast po każdym najdrobniejszym rysie. Pełna życia charakterystyka tej figury dowodzi, że nie brak pani Henningsen talentu do rzeźbienia postaci o żywo pulsującej krwi, lecz zarazem wykazuje, iż człowiek to mechanizm nadto złożony, aby na poznanie go i uchwycenie najistotniejszych cech starczyło przelotnej znajomości.

Życie cyganeryi oddane jest z prawdą, nakreślone barwnie, ale stosunki domowe arystokracyi widocznie są autorce obce. Wprowadzenie przedstawicieli warszawskiej cyganeryi do domu hrabiny, najbliższej krewnej Branickich, jest zupełnie przypadkowe. Znanem jest wprawdzie, że stosunki w Warszawie są bardzo ożywione, a może były jeszcze łatwiejsze za czasów pobytu Brandesa, kiedy się właśnie rozgrywa akcya powieści, ale nie zdaje mi się prawdopodobnem, aby i wtedy ludzie bez imienia, bez zasług, nawet bez talentu, jak Jan Mańkowski lub Jedlicz, nietylko mieli każdej chwili wstęp do arystokratycznych dam, lecz nawet nadzieję pozyskania ręki wdowy (dla Jedlicza) i Haliny (dla Jana).

O malowidło tła nawet nie kusiła się autorka, co przy wybitnie dramatycznem opracowaniu powieści zbyt nie razi. Pani Henningsen, oprowadzana minionej jesieni po Krakowie, nie dostrzegła starożytnego charakteru miasta, licznych i pięknych pamiątek, lecz ciągle obserwowała po wierzchu ludzi, to też zarówno Warszawa jak Kraków nie mają w jej przedstawieniu żadnej fizyognomii. Święto tak charakterystyczne, jak Dzień Zaduszny, posłużyło jej za tło do niesmacznej, melodramatycznej sceny końcowej. Oto Marya, obecnie Prusowa, każe dorożkarzowi pędzić na cmentarz, gdzie spodziewa się zastać jeszcze Brannera, z którym zamierza się puścić w dalszą drogę, do Buda-Pesztu. Dorożkarzem jest lokaj, przez nią wypędzony ze służby od hrabiny. Oddawna gorzała w jego piersi namiętność do pięknej zalotnicy, którą odprowadzał na wszystkie schadzki, a obecnie wiezie do nowego wybrańca. Wiedziony zazdrością, podsuwa się on na cmantarzu ku Brannerowi i mierzy weń ze strzelby. Zasłania go Marya i kilka ziarnek śrutu rani ją lekko w ucho. Po chwilowem zemdleniu ze strachu, podąży ona zapewne za odjeżdżającym wprost z cmentarza Brannerem, żegnanym pełnymi zapału okrzykami kilkutysięcznego tłumu.

Powieść czyta się gładko, z zajęciem, styl jest żywy, trochę nerwowy, nadający się bardzo dobrze do dramatycznej osnowy.

Pani Henningsen widocznie chciała iść w ślady sumiennych pracowników, jak Flaubert, i przed napisaniem powieści zwiedziła jej grunt; szkoda tylko, że nie umiała patrzeć i wnikać tak głęboko, jak wielki mistrz realizmu, i to jest największy zarzut, jaki jej zrobić musimy.

*Józefa Klemensiewiczowa.*

## SPRAWY EKONOMICZNE

# Ćwierć wieku.

(Dokończenie).

Dzięki rozbudzonemu przez mińskie Tow. rolnicze duchowi przedsiębiorczości, powstało także akcyjne Towarzystwo wyrobu patoki z krochmalu, pod firmą „Sokół.“ Największą wszakże w tym zakresie zasługą Towarzystwa rolniczego jest organizacya ubezpieczeń wzajemnych. Pomimo wielu przeszkód, po długich i usilnych zabiegach udało się naprzód zawiązać umowę z Północnem Towarzystwem ubezpieczeń, następnie zaś wykołatać organizacyę odrębną. Komisya specyalna, z p. Święcickim na czele, przez długi czas pracowała nad ustawą. Za najlepszą uznano tę, którą opracował p. A. Bąkowski. Obejmowała ona cztery rodzaje ubezpieczeń: od ognia, gradobicia, pomoru bydła i — na życie. Dotąd ze wszystkich tych kategoryj zatwierdzono ustawę ubezpieczeń od ognia na terytorym sześciu gubernij północno-zachodnich. W pierwszych dniach stycznia r. b. mińskie Towarzystwo rolnicze wzajemnych ubezpieczeń pod kierunkiem pp. Łopotta, Węcławowicza i Iwanowicza rozpoczęło swoją działalność bardzo pomyślnie.

Od r. 1893 Towarzystwo rolnicze czyni zabiegi o stworzenie Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego. Sprawa ta, przyjęta bardzo przychylnie przez ministra skarbu jeszcze w r. 1893, dotąd nie jest ostatecznie rozstrzygnięta, ale są wszelkie dane, które każą przypuszczać, że zabiegi w tej mierze nie zostaną bezskuteczne. W takim razie będzie to wypadek wielkiej wagi w życiu ekonomicznem rozległych obszarów kraju, i od tej daty można będzie liczyć nowy okres rozwoju i organizacyi rolnictwa.

Rozległe terytorya i zbyt różnorodne sprawy wywołały konieczność stworzenia filii Towarzystwa rolniczego. Powstała ona w Pińsku 1900 r. pod nazwą: „Oddział poleski mińskiego Towarzystwa rolniczego.“ Służy on dla ziemian powiatów: Pińskiego, Mozyrskiego i Rzeczyckiego, znacznie odległych od Mińska i posiadających pod wielu względami warunki odrębne. Oddział ten pod kierunkiem ks. Druckiego-Lubeckiego i przy pomocy p. Szczyta zajął się opracowaniem bardzo ważnych spraw: osuszenia błot, założenia Towarzystwa handlu leśnego, organizacyi Towarzystwa wzajemnego kredytu długoterminowego itd. Towarzystwo handlu leśnego zdołano już zawiązać.

Praca czysto praktyczna mińskiego Towarzystwa rolniczego skupiła się w syndykacie, który nie jest organem samodzielnym, lecz właściwie oddziałem handlowym Towarzystwa rolniczego. Powstał on dzięki inicyatywie p. Woyniłłowicza i jest czynny na zasadzie ustawy, opracowanej przez p. Obrąpalskiego. Organ ten zajął się naprzód pośrednictwem w handlu jęczmieniem, wełną i materyałem leśnym. Pierwsze jednak kroki nie doznały powodzenia; syndykat zawiódł się w swych planach i rachubach, więc nadal musiał zmniejszyć zakres swej działalności. Doświadczenie atoli wskazało tej organizacyi drogi praktyczne, które doprowadziły do pokrycia pierwszych niedoborów, a nawet do udzielenia dywidendy uczestnikom. W roku ubiegłym obroty syndykatu wynosiły 670,000 rb., a czysty zysk 8,699 rb. Na czele oddziału handlowego od czasu jego istnienia, tj. od pięciu lat, stoi. p. Obrąpalski przy współpracownictwie ks. Druckiego-Lubeckiego i p. Czeczotta.

Syndykat powoli rozbija zwarte szeregi pośredników, którym ziemianie przez długie lata płacili olbrzymi haracz. Dziś syndykat jest stałym dostawcą zboża intendenturze wojskowej, i doszedłszy w tej mierze do wielkiej sprawności, dowiódł on, że tylko przy takiej organizacyi możliwe jest zaspokojenie żądań zbiorowego spożywcy. Ułatwia stosunki z nim jeszcze ten warunek, że Towarzystwo wyjednało zniesienie dostawy przez licytacyę.

Wielkie znaczenie ma praca sekcyj osobnych Towarzystwa rolniczego. Dzięki sekcyi leśnej, ziemianie zaczęli oceniać istotną wartość swych lasów, wprowadzać gospodarkę racyonalną i wyzwalać się z zależności od handlarzy. Sekcya agronomiczna urządziła biuro organizacyi gospodarstw rolnych pod kierunkiem p. Świdy i biuro melioracyjne pod kierunkiem inżeniera Krzyżanowskiego. Urządzenia te niewątpliwie przyczynią się do melioracyj rolnych tudzież ułatwią przejście do gospodarki intensywnej. Sekcya hodowli bydła zaprowadziła księgi stad bydła rasowego i udziela hodowcom różnych wskazówek. Staraniem jej powstał w Warszawie sklep produktów mlecznych. Sekcya hodowli koni również wprowadziła księgi stad.

Do pożytecznych owoców pracy praktycznej Towarzystwa rolniczego zaliczyć jeszcze należy usunięcie zmonopolizowanego handlu bydłem i mięsem w Mińsku i wydzierżawienie rzeźni miejskich, zbudowanych przez hr. Czapskiego. Nie powiodła się tylko komisowa sprzedaż bydła.

Najmniej dotychczas Towarzystwo zdziałało w dziedzinie prac naukowych, doświadczalnych. W r. 1894 p. Łubański ofiarował Towarzystwu na czas nieograni-

czony bezpłatnie 14 dziesięcin ziemi na pola doświadczalne. Z braku jednak środków nie skorzystano z tej ofiary. Trochę dziwnym się tu wydaje ów brak środków, których zamożni ziemianie chyba by nie poskąpili dla dobra ogółu. Zamiast pracy zupełnie samodzielnej w tym zakresie ma być urządzone pole doświadczalne przy szkole w Maryen Górce, pod kierunkiem jej dyrektora i Towarzystwa rolniczego.

W majątku Czambrowie (pow. Nowogrodzkim), dzięki pracy i ofierze właściciela, p. Kasprowicza, urządzono stacyę doświadczalną pod kierunkiem wspólnym Towarzystw rolniczych Mińskiego i Wileńskiego.

Towarzystwo rolnicze mińskie, dzięki inicyatywie niektórych członków, głównie zaś p. Jelskiego, zaczęło się w ostatnich czasach troszczyć o byt oficyalistów i robotników. Opracowano nawet ustawę kasy i zabezpieczenia bytu. W związku z tą sprawą pozostaje organizacya pomocy lekarskiej dla oficyalistów i robotników. Wreszcie Towarzystwo zajęło się sprawą podniesienia drobnych gospodarstw wiejskich.

Jak widzimy, działalność tej instytucyi jest bardzo rozległa na polu ekonomicznem i społecznem. Wywołała ona ruch pomyślny i ułatwiła organizacyę pracy zrzeszonej *).

*Zen. Piet.*

## NA MARGINESIE.

**Data narodzin Chrystusa.** Jakkolwiek niejednemu wyda się to dziwnem, data narodzin Jezusa nie jest ściśle oznaczoną, a osnute na niej wątpliwości zostały świeżo poddane rozbiorowi w pismach naukowych, poświęconych historyi i archeologii. Niepewność wypływa ze sprzeczności dwu świadectw: według ewangielisty Mateusza, Chrystus urodził się za panowania Heroda I, który umarł w r. 750 (rachuby rzymskiej), według św. Łukasza — za starostwa Cyreneusza, podczas spisu podatkowego, który się odbył w r. 760, czyli w 10 lat po śmierci Heroda. Ponieważ obie te daty są już dziś sprawdzone, więc początek naszej ery (oznaczony dopiero w VI w. na rok 754 rachuby rzymskiej) znajduje się gdzieś między temi granicami.

**Nieprzekonani.** Pomimo najoczywistszych, zdawałoby się, dowodów pogromu, któremu uległy Chiny, rząd ich do końca podtrzymał w narodzie dziwną, niepojętą dla Europejczyka fikcyę, że stroną potężną, zwycięzką i wspaniałomyślną jest „państwo środka," a pokonaną, żebrzącą o chleb i miłosierdzie — „białe dyabły." Wszystkie porażki, egzekucye krwawe, rabunki, ucieczkę cesarza itp. — umiano wytłomaczyć w tym duchu. Mniemano, że pokutnicza wyprawa Czuna do Berlina, gdzie mu zgotowano szereg upokorzeń, wyleczy „synów słońca" z tej manii, czy komedyi. Okazało się przeciwnie — deputacya bowiem nadała każdemu szczegółowi ubliżającego dlań ceremoniału znaczenie swego tryumfu. I tak: ponieważ w Chinach wrzawa podczas przejazdu księcia uważana jest za niechęć ku niemu — więc milczenie publiczności niemieckiej wzięto za objaw czci. Ponieważ w Chinach tylko naczelnicy podbitych plemion, dążąc na posłuchanie do pałacu cesarskiego, muszą przechodzić przez szeregi żołnierzy, więc brak warty w Poczdamie poczytano za „miłą niespodziankę." Uroczysty strój cesarza niemieckiego, siedzącego na tronie, świadczył, według deputacyi, o hołdzie dla monarchy chińskiego; powitalny ruch ręki—o wyróżnieniu jego przedstawicieli, obecność synów Wilhelma—o serdeczności powitania itd. Słowem, Niemcy, którzy już zaczęli litować się nad delegatem, że zbyt został upokorzony, dowiedzieli się z jego ust przez reportera *Local Anzeig.*, że jest zachwycony miłem i pełnem szacunku przyjęciem. A hr. Waldersee ogłosił, że nauczył Chińczyków rozumu! Nie tak to łatwo!

**Paternidad.** W Barcelonie przy wielkim napływie publiczności, tłumnie zalegającej widownię teatru „Circo Barcelones," odbywają się przedstawienia dramatu „Paternidad" (Ojcostwo), którego autorem jest Don Segismundo Pey-Ordeix, ksiądz katolicki, znany z zawziętości, z jaką piórem i słowem walczy przeciwko Jezuitom. Co wieczór po spuszczeniu zasłony, publiczność zachwycona wywołuje autora, który w sukni kapłańskiej ukazuje się na widowni, przyjmowany burzą oklasków. Jego dramat, według słów krytyki, ma zapewnione takie same, jeżeli nie większe, powodzenie jak „Elektra" Perez Galdosa, a jest wyrazem tej walki, którą don Segismundo wypowiedział uczniom Lojoli.

Bogata rodzina, składająca się z dwojga rodziców i syna Paquity, jest przedmiotem zabiegów zakonu, czyhającego na ich majętności. Ojciec i matka oddawna ślepo ulegają woli spowiednika swego, Jezuity Arburu, ale syn, przyszły członek Towarzystwa Jezusowego, przez którego całe bogactwo rodziny ma wpłynąć do zakonu, zakochuje się w młodej dziewczynie Lenorze, służebnej w domu jego rodziców, i potajemnie w kaplicy przed ołtarzem, przysięga jej wieczną miłość i wiarę póki po dojściu do pełnoletności nie zawrze z nią formalnego małżeństwa. Związek ich jednak ujawnia się wkrótce, gdyż Lenera ma zostać matką. Wynikające stąd zatargi między synem a rodzicami, grożącymi Paquicie wydziedziczeniem, ojciec Arburu wyzyskuje zręcznie dla swych celów. Młodych rozdziela, przekonawszy Lenorę, że Paquito chciał ją tylko uwieść, obiecując się z nią ożenić, i oboje doprowadza do tego, że postanawiają wstąpić do klasztoru. Lenera, przyszedłszy pożegnać się z dawnem swojem państwem i oddać im syna swego w opiekę, zastaje u nich Paquito, który przybył w tym samym celu. Obecny ojciec Arburu nie pozwala mu ucałować dziecka, „Bracie Paquito, mówi, członkowie naszego zakonu nie mają dzieci." Więc kiedy starzy rodzice podchodzą, ażeby uścisnąć syna, Paquito, wzburzony odwraca się do nich plecami, mówiąc: „Członkowie naszego zakonu nie mają też rodziców, jeśli nie mają dzieci."

Tymczasem opieka nad dzieckiem powierzona zostaje bonie Ramonie, wychowance Sercanek i posłusznemu, jak dotąd, narzędziu zakonu. Ale i tu miłość przychodzi wtrącić swoje trzy grosze. Zbliża ona Ramonę z Joachimem, synem bogatego kapitalisty, na którego zakon chciał także zarzucić swe sieci za pośrednictwem Ramony. Plany się jednak nie udały. Oboje młodzi, wbrew usiłowaniu Towarzystwa, wstępują w związek prawny, i własnem nauczeni doświadczeniem, postanawiają Paquicie i Lenorze ujawnić machinacye Jezuitów. Oboje oni nie wyrzekli jeszcze ostatecznych ślubów, oboje chcą wystąpić, lecz fałszywa wiadomość o śmierci, udzielona obustronnie, rozstrzyga kwestyę: Lenora i Paquito składają śluby zakonne.

Paquito jako misyonarz wyjeżdża do Chin i po wielu latach wraca do Hiszpanii dla poratowania zdrowia. Tu w jednem z miejsc kąpielowych spotyka Lenorę. Jest ona zakonnicą pielęgnującą chorą damę, której on zostaje spowiednikiem. Oszukani porozumiewają się i postanawiają zrzucić suknie zakonne; wówczas prowincyał Jezuitów ojciec Leiva, grozi Paquicie, że jeśli wystąpi ze zgromadzenia to, on go przed światem ogłosi za oszusta i fałszerza. Paquito zrozpaczony ulega gwałtowi. „Zakon mnie oskarża, woła on, sprawiedliwość mnie potępi, społeczeństwo mnie nie obroni: Wydarto mi wszystkie uczucia, syna, małżonka i ojca; jeślibym chciał szukać pomsty, zginę w więzieniu, jeśli postąpię, jak Chrystus każe, będę wiarołomcą!... Zostanę więc Jezuitą!"—woła, śmiejąc się szyderczo.

I temi słowy kończy się sztuka.

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W Petersburgu zawiązuje się towarzystwo w celu walki z fałszowaniem produktów spożywczych. Ma ono rozszerzyć działalność swoją i na inne miasta.

**Szkoły.** Ministeryum oświaty zawiadamia, że uczniowie klasy 4-ej gimnazyów i szkół realnych, którzy nie zdali egzaminów przejściowych do klasy 5-ej, obowiązani są przed wstąpieniem do niższych szkół technicznych zdawać egzamin z pełnego kursu szkoły miejskiej.

— Reorganizacya zupełna szkół średnich ukończona będzie dopiero po upływie kilku lat. I tak reforma gimnazyów męskich w r. 1904/5, szkół realnych w r. 1905/6. Nowe rozkłady i programy wprowadzane będą stopniowo od r. b.

— Na pierwszy kurs do instytutu gospodarczo-leśnego w Nowej Aleksandryi zgłosiło się 230 kandydatów, między którymi tylko 18 ze szkół okręgu warszawskiego. Miejsc wolnych jest 60.

— Gimnazya żeńskie ulegą mają gruntownej reformie w kierunku wykształcenia więcej praktycznego. Nauka robót ręcznych, rysunków, ma być znacznie rozszerzona; projektowanem jest zaprowadzenie od klasy 4-ej nauki rachunkowości, gospodarstwa domowego, w miastach zaś prowincyonalnych, gdzie połowę uczenic stanowią córki rolników, zaprowadzona ma być także nauka gospodarstwa wiejskiego.

**Dla kobiet.** W Petersburgu, na Newskim Prospekcie, w gmachu kościoła św. Katarzyny, otwartą została pierwsza w państwie rosyjskiem apteka prowadzona przez kobietę, rodaczkę naszą, p. Antoninę Leśniewską, i obsługiwana wyłącznie przez kobiety. D 15 sierpnia rozpoczęto przy niej zajęcia przygotowawcze z uczenicami, a od 1 stycznia 1902 r. otwarta będzie żeńska szkoła farmaceutyczna z kursem dwuletnim: po złożeniu egzaminu w akademii medycznej lub uniwersytecie uczenice tej szkoły otrzymywać będą patenty pomocnic aptekarskich. (*Kur. codz.*).

— Otworzona ma być wkrótce w Petersburgu pierwsza w państwie szkoła zegarmistrzowska dla kobiet, do której przyjmowane będą uczenice posiadające świadectwa z ukończenia najmniej czterech klas szkół średnich, bez względu na pochodzenie i wyznanie, w wieku lat 16—25. Kurs szkoły będzie trzyletni.

**Farmaceutki** warszawskie starają się o pośrednictwo warsz. oddz. Tow. przem. i handlu w sprawie zmiany paragrafu ustawy Towarzystwa farmaceutycznego o przyjmowaniu członków. Chcą one uzyskać prawo należenia do Towarzystwa i korzystania ze wszystkich jego przywilejów na równi z mężczyznami.

**Dentyści.** Departament medyczny wniósł sprawę zamknięcia wszystkich prywatnych szkół dentystycznych w całem państwie, a otworzenia natomiast instytutów lekarsko-dentystycznych z kursem trzyletnim. Kończący instytut otrzymywać będą stopień lekarza-dentysty. Do instytutu przyjmowani będą kandydaci obu płci ze świadectwami 6 klas gimnazyum. Po wydaniu rozporządzenia o zamknięciu szkół istniejących ci uczniowie, których zaskoczy reforma, otrzymają termin pięcioletni do uzyskania właściwego stopnia.

**„Zakopianka,"** jednodniówka, wydana świeżo pod redakcyą Piotra Chmielowskiego, na rzecz stowarzyszenia uczącej się młodzieży polskiej, zawiera zbiór drobnych prac różnych autorów polskich. Wydanie staranne i ozdobne.

**Wystawy.** W Winnicy, gub. Podolskiej, staraniem tamtejszego Towarzystwa rolniczego, otwarta będzie d. 15 b. m. wystawa gospodarczo-rolnicza.

**Kongres** międzynarodowy archeologiczny ma się zebrać w Atenach w kwietniu 1903 r. Obradujący nad nim komitet oznaczył czas trwania zjazdu na dwa tygodnie — pięć dni zajmą obrady, resztę wycieczki archeologiczne.

**Przemysł i handel.** Postanowiono w czasie jak najkrótszym przedsięwziąć ścisłe badania i zebrać materyały w sprawie rozwoju przemysłu fabrycznego w państwie za ostatnie 50 lat, liczby robotników fabryczno-przemysłowych, wysokości ich zarobków i warunków istnienia.

*) Dane, dotyczące przeszłości Towarzystwa, zaczerpnęliśmy ze świeżo wydanej po rosyjsku pracy p. B. Grabowskiego, członka Towarzystwa.

**Lekarki.** Towarzystwa ubezpieczeń na życie postanowiły utworzyć nowe posady lekarzy-kobiet dla oględzin klientów płci żeńskiej. Dotychczas czynności te wypełniali lekarze.

**Koleje i komunikacye.** Zjazd przedstawicieli dróg żelaznych rosyjskich uznał za konieczne dla wszystkich pracowników kolejowych, zajmujących posady w oddziałach technicznych i handlowym służby ruchu, oznaczyć ścisłą normę dnia roboczego na wzór określonych godzin w warsztatach kolejowych. Idzie tu głównie o służbę ruchu i mechaniczną, tj. zawiadowców, ekspedytorów, kasyerów, konduktorów, maszynistów, zwrotniczych, smarowozów itp.

— Projektują wprowadzenie telefonów zamiast telegrafu na nowobudującej się kolei Kaliskiej. Zapewniłoby to oszczędności zarządowi, gdyż niepotrzebni byliby telegrafiści; obsługa telefonu, jako łatwiejsza mogłaby być powierzana osobom z personelu stacyjnego.

— Główny zarząd dróg żelaznych podniósł projekt przyłączenia wszystkich kolei w państwie do związku austryacko-niemieckiego w celu zaprowadzenia biletów okolnych w komunikacyi bezpośredniej z kolejami zagranicznemi. Do ułożenia odpowiedniej taryfy wyznaczona będzie specyalna komisya z udziałem przedstawicieli dróg zagranicznych.

**Z poczty.** Naczelnik głównego zarządu poczt i telegrafów rozesłał okólnik do naczelników okręgów pocztowo-telegraficznych z żądaniem przysyłania mu numerów czasopism, w których znajdują się jakiekolwiek szczegóły i wiadomości dotyczące czynności poczty i telegrafu oraz działalności urzędników. Naczelnicy okręgów mają dawać dokładne wyjaśnienia zarzutów stawianych przez prasę.

**Przytulisko polskie w Wiedniu**, istniejące od lat 21, posiada tak szczupłe zasoby materyalne, że nie jest w stanie podołać swemu zadaniu humanitarnemu. W celu uzyskania na ten cel zasiłków zarząd zwrócił się do ogółu z prośbą o składki.

**Prasa.** Od października r. b. zacznie wychodzić w Krakowie, pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego, tygodnik *Ilustracya polska*. Nakładcami będą kapitaliści, w ich liczbie księgarz wiedeński Bondy i Jan Szczepanik.

— Minister spraw wewnętrznych zabronił na jeden miesiąc sprzedaży numerów pojedyńczych gazety *Nowosti*.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu Płaszkowskiemu.* Krystynopol, miasteczko, leży w Galicyi, w pow. Sokalskim, o 74 kilom. od Lwowa; założone przez Potockiego około 1692 r., ostatnimi czasy było własnością Wiszniewskich. — Drugiej nazwy nie mogliśmy odczytać.

*Panu Suszyńskiemu w Budzikowszczyznie.* Numer w swoim czasie był wysłany; jeżeli Sz. Pan nie otrzymał, prosimy reklamować na poczcie.




Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 30 Августа 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.